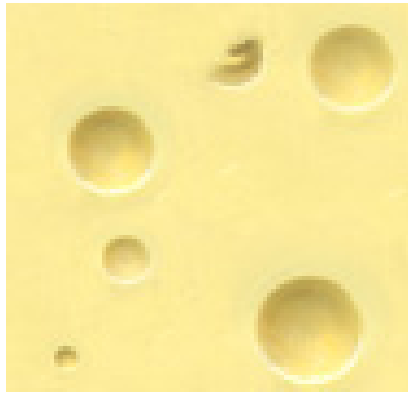


Mark Twain

Garść humoresek



(tłum. anonimowe)

E-book
Subiektywnego Magazynu Literackiego - BLACK & WHITE
<http://blackandwhite.3neo.net>

Wydawnictwo "MY IP"
Sosnowiec 2006r.

© **Copyright by**
“MY IP” Kamil Janas
oraz BLACK & WHITE – Subiektywny Magazyn Literacki

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Autor: Mark Twain

Tytuł: “Garść humoresek”

Tłumacz anonimowy

Wydanie I

ISBN: 83-60435-03-0

Rozpowszechnianie, projekt okładki, korekta i skład edytorski:
BLACK & WHITE – Subiektywny Magazyn Literacki

Wydawnictwo internetowe:

“MY IP” Kamil Janas

ul. Kalinowa 65/41

41-208 Sosnowiec

REGON: 278180044

NIP: 644-246-45-44

Kontakt:

Anna Alochno – Janas

redaktor naczelna BLACK & WHITE SML

e-mail: blackandwhite@3neo.net

<http://blackandwhite.3neo.net>

JAK KANDYDOWAŁEM NA GUBERNATORA

Przed kilkoma miesiącami wysunięto moją kandydaturę na gubernatora stanu New York z listy niezależnych. Moimi kontrkandydatami byli pp. John T. Smith oraz Blank J. Blank. Wiedziałem, że posiadam niewątpliwą przewagę nad tymi panami w postaci dobrej reputacji. Wystarczyło spojrzeć na gazety, aby dowiedzieć się, że jeśli panowie ci cieszyli się kiedyś dobrą opinią, to czasy te minęły już bezpowrotnie. Nie ulegało wątpliwości, że mieli oni w ostatnich latach do czynienia z najbardziej podejrzanymi i brudnymi sprawkami. Kiedy jednak cieszyłem się w cichości ducha z mojej przewagi moralnej, to z radością tą mieszało się uczucie zażenowania, że moje nazwisko wymieniane będzie jednym tchem z nazwiskami tego typu indywiduów. Długo zwlekałem z przyjęciem kandydatury, aż wreszcie postanowiłem napisać w tej sprawie do mojej babki. Odpowiedź jej była zarówno szybka, jak i dobitna:

Nie popełniłeś w swym życiu niczego takiego, co mogłoby przynieść ci ujmę. Spójrz tylko na gazety, a zrozumiesz, jakimi osobnikami są panowie Smith i Blank. Zastanów się dobrze, czy chcesz poniżyć się do tego stopnia, aby rywalizować z ludźmi tego pokroju.

Tak samo właśnie i ja myślałem! W nocy nie mogłem zmrużyć oka. Mimo wszystko jednak nie widziałem sposobu wycofania swej kandydatury. Byłem już zaangażowany i musiałem stanąć do walki. Przeglądając przy śniadaniu dzienniki natrafiłem na taką oto wzmiankę, która wytrąciła mnie całkiem z równowagi:

KRZYWOPRZYSIĘSTWO!

Może by pan Mark Twain wytłumaczył nam dzisiaj, gdy staje jako kandydat na gubernatora przed swym narodem, jak to się stało, że w r. 1863 w miejscowości Wakawak, w Kochinchinie, 44 świadków udowodniło mu krzywoprzysięstwo, które popełnił, aby wydrzeć szmat pola bananowego z rąk nieszczęśliwej wdowy malajskiej i jej bezbronnej rodziny, dla której pole to było jedynym środkiem utrzymania. Nie wątpimy, że p. Twain w interesie zarówno swoim, jak i ludu, o którego głos zabiega, zechce sprawę tą wyjaśnić jak najrychlej. Czy jednak touczyni?

Myślałem, że pęknę ze zdumienia. Cóż za okrutne, straszliwe oskarżenie. Nie widziałem nigdy na oczy Kochinchiny! Nie słyszałem o żadnym Wakawaku! Nie potrafiłbym odróżnić pola bananowego od kangura! Nie wiedziałem, co począć. Byłem oszołomiony i bezradny. Dzień minął, a ja nic nie zrobiłem w tej sprawie. Nazajutrz ta sama gazeta zamieściła króciutką notatkę:

CHARAKTERYSTYCZNE!

Godzi się zauważyć, iż p. Twain zachowuje znamienne milczenie w sprawie krzywoprzysięstwa w Kochinchinie.

(NB Przez cały czas walki wyborczej dziennik ten nie nazywał mnie inaczej, jak „Twain, ohydny krzywoprzysięzca”.)

Następnie wpadła do mych rąk „Gazette”, w której przeczytałem, co następuje:

PROSIMY O ODPOWIEDŹ!

Może by nowy kandydat na stanowisko gubernatora zechciał wyjaśnić nam pewną sprawę. Idzie o jego współlokatorów w Montanie, którym od czasu do czasu ginęły różne drobne choć wartościowe drobiazgi. Dziwnym trafem znajdowano je zawsze u p. Twaina. Współlokatorzy byli zmuszeni udzielić mu dla jego własnego dobra przyjacielskiego napomnienia, po czym dali mu niezłą nauczkę i poradzili, aby pozostawił na stałe próżnię w miejscu, w którym zwykł był przebywać w obozie. Czekamy na wyjaśnienia p. Twaina w tej sprawie.

Czy można było zdobyć się na większą złośliwość? Nigdy w życiu nie byłem w Montanie. („Gazette” nie nazywała mnie odtąd inaczej, jak „Twain, złodziej z Montany”.)

Brałem teraz do rąk dzienniki tak ostrożnie, jak człowiek, który podnosi koldrę, spodziewając się znaleźć w łóżku żmiję. W parę dni później znalazłem znów taki oto artykuł:

KŁAMSTWO PRZYGWOŹDZONE!

Złożone pod przysięgą zeznania pp. Michała O'Flanagana, esq. z Five Points, oraz Snub Rafferty i Catty Mulligana z Water Street jednogłośnie dowodzą, iż fałszywe oświadczenie p. Marka Twaina na temat dziadka naszego kandydata pozbawione jest wszelkiego pokrycia w rzeczywistości. P. Twain ośmielił się mianowicie stwierdzić, iż zmarły dziadek powszechnie szanowanego p. Blanka J. Blanka powieszony został za rabunek uliczny, co jest ohydny i ordynarnym łgarstwem. Jest rzeczą odrażającą, iż dla doraźnych celów politycznych nie daje się spokoju ludziom nawet w grobach, obzuczając błotem ich czcigodne nazwiska. Kiedy pomyślimy o tym, jak wielce boleć muszą podobne zniewagi rodzinę i przyjaciół nieodżałowanego nieboszczyka, nie możemy oprzeć się chęci zaapelowania do szanownych wyborców, aby udzielili nauczki zdziczałemu oszczercy. Ale nie! Pozostawmy go raczej na pastwę wyrzutów sumienia (choćby jeśliby szlachetniejsi spośród czytelników zadali kłamcy obrażenia cielesne, nie ulega wątpliwości, że nie znalazłby się sąd, który potępiłby ich za ten wzniosły uczynek).

Misterne ostatnie zdanie tego artykułu wywarło taki skutek, że „najszlachetniejsi spośród czytelników”, opanowani szlachetnym oburzeniem, wyrzucili mnie w nocy z mojego własnego mieszkania, łamiąc meble i okna oraz unosząc ze sobą to wszystko, co byli w stanie unieść. A jednak gotów jestem przysiąc na wszystkie świętości, że nigdy nie obraziłem pamięci dziadka p. Blanka. Więcej jeszcze, nie słyszałem o nim aż do chwili ukazania się wspomnianego artykułu.

(Nawiasem mówiąc, dziennik ten nazywał mnie odtąd „Twain, profanator zwłok”.)

Następna wzmianka, która przykuła moją uwagę, brzmiała następująco:

ŁADNY KANDYDAT!

Mark Twain, który miał wczoraj wygłosić mowę na wiecu niezależnych, nie przybył wcale na wiec. Lekarz jego doniósł telegraficznie, że p. Twain ma nogą złamaną w dwóch miejscach. Pacjent cierpi okropnie — itd., itd. i całe mnóstwo podobnych bredni. Niezależni wzięli to za dobrą monetę, teraz zaś udają, że nie wiedzą nic o prawdziwej przyczynie nieobecności tego indywiduum, które w swym zaślepieniu wybrali na kandydata. A przecież widziano wczoraj wieczorem, jak jakiś pijany osobnik zmierzał do mieszkania p. Twaina w stanie zupełnego zamroczenia. Jest obowiązkiem niezależnych dostarczyć nam dowodów, iż osobnik ten nie był p. Markiem Twainem. Nareszcie mamy ich w ręku! W tej sprawie nie ma miejsca na żadne kruczki i wybiegi! Lud zadaje im z całą mocą i naciskiem pytanie: „Kim był ten pijak?”

Było to fantastyczne, całkiem fantastyczne, że właśnie moje nazwisko zamieszane było w podobną sprawę. Przeszło trzy lata minęły już od chwili, kiedy miałem w ustach ostatnią kroplę alkoholu.

(Już od następnego numeru dziennik ów nazywał mnie stale: „*Pan Delirium Tremens Twain*”.)

W tym samym czasie zaczęły do mnie napływać w wielkiej ilości listy anonimowe. Treść ich była zawsze niemal jednakowa:

Jak to było z tą kobietą, którą pan pobił, kiedy prosiła o jałmużnę? Poi Pry.

Albo:

Popelnił pan szereg lądactw, o czym nie wie nikt proc; mnie. Radziłbym wiać panu przesiać mi odwrotnie kilka dolarów, gdyż inaczej zrobią z tego użytek w gazetach. Handy Andy.

To chyba wystarczy. Mógłbym cytować więcej, gdybym chciał zmęczyć czytelnika.

Wkrótce potem centralny organ republikański zarzucił mi przekupstwo na wielką skalę, zaś centralny organ demokratyczny przytoczył „fakty”, świadczące, iż usiłowałem zyskać bezkarność w pewnych sprawkach za pomocą szantażu.

Z tej racji zyskałem dwa nowe przydomki: „*Twain, brudny łapownik*” i „*Twain, podły szantażysta*”.

Odtąd domagano się ode mnie odpowiedzi ze wszystkich stron i z taką natarczywością, że nie tylko redaktorzy, ale również i przywódcy mego stronnictwa orzekli, iż dalsze milczenie z mej strony stanie się moją zgubą polityczną. Na domiar złego nazajutrz ukazał się w jednym z dzienników następujący artykuł:

PRZYJRZYJCIE MU SIĘ DOBRZE!

Kandydat niezależnych wciąż jeszcze milczy. Robi to dlatego, że nie ma dość odwagi, aby zabrać głos. Wszystkie oskarżenia przeciwko niemu są w pełni umotywowane, zaś swym milczeniem potwierdza on jeszcze stokrotnie ich słuszność. Niezależni, przyjrzyjcie się swojemu kandydatowi! Spójrzcie na ohydneho krzywoprzysięcę, złodzieja z Montany, profanatora zwłok! Podziwiajcie tego deliryka, brudnego łapownika, podłego szantażystę!

Zastanówcie się i powiedzcie, czy możecie złożyć wasze głosy na człowieka obciążonego tak wstrętnymi zbrodniami, który nie posiada nawet dość odwagi, aby pisać słówko w swojej obronie!

Nie, dłużej nie mogłem milczeć. Zanim jednak przygotowałem „odповідź” na tę potworną ilość zarzutów, jeden z dzienników zarzucił mi, że spaliłem dom wariatów li tylko dlatego, że przysłał mi widok z mojego okna. To wprawiło mnie w jakiś niesamowity lęk. Zaraz potem przeczytałem zarzut, iż otrujęm mego wujaszka, pragnąc zawładnąć jego majątkiem — zarzut połączony z żądaniem ekshumacji zwłok. Omal że nie zwariowałem! Następnie oskarżono mnie, że będąc dyrektorem przytułku używałem do najcięższych robót zniedołężniałych i bezzębnych staruszków. Zacząłem poważnie się wahać, czy nie wycofać się z tej całej awantury. Na koniec jednak, jako ukoronowanie wszelkich oszczerstw, rzucanych na mnie przez przeciwników politycznych, nastąpiło zwołanie całej chmary dzieciaków różnej wielkości i maści i nakazanie im, by wołały w czasie mego przemówienia na wiecu: „Tatus, tatus!”

Dałem za wygraną. Uległem. Nie dorosłem widać do wysokiego stanowiska gubernatora stanu New York. Wycofałem moją kandydaturę, przy czym tak podpisałem się na mym liście:

Z szacunkiem

Mark Twain

niegdyś porządny człowiek, dziś ohydny krzywoprzysięzca, złodziej z Montany, profanator zwłok, deliryk, brudny łapownik, podły szantażysta itp.

EKONOMIA POLITYCZNA

Ekonomia polityczna jest podstawą każdego dobrego rządu. Najmędrsi ludzie we wszystkich stuleciach pracowali, nad tym przedmiotem...

W tym miejscu przeszkodzono mi w pracy. Jakiś obcy człowiek czekał na mnie w sieni. Zeszedłem na dół i zapytałem, czego sobie życzy; przez cały ten czas walczyłem z gwałtowną chęcią sformułowania mej opinii na temat ekonomii politycznej i ocalenia rozpoczętej myśli. W głębi duszy życzyłem natrętowi, aby spoczywał na dnie morza, przywalony odpowiednimi ciężarami. Byłem rozgorączkowany, on zaś zupełnie zimny. Oświadczył, że bardzo mu przykro przeszkadzać mi w pracy, ale że przechodząc koło mego domu spostrzegł zupełny brak piorunochronów. Powiedziałem: — Dobrze, dobrze, niech pan mówi szybko, o co panu idzie. — Nieznajomy odrzekł, że pragnąłby umieścić kilka piorunochronów na moim dachu. Byłem nowicjuszem w roli właściciela domu; mieszkalem dotąd w hotelach i pensjonatach. Podobnie jak inni nowo upieczeni posiadacze domów pragnąłem uchodzić w oczach otoczenia za kutego na cztery nogi fachowca od tych spraw. Oświadczyłem więc nieznanemu, że od dawna już zamierzałem umieścić na moim dachu sześć do ośmiu piorunochronów, ale... Natręt spojrział na mnie badawczo, lecz nie zdradziłem ani cienia niepewności. Pomyślałem sobie, że gdybym nawet popełnił jakiś błąd, to nie pozna tego po wyrazie mej twarzy. Odpowiedział, że znajomość ze mną jest mu miłsza i przyjemniejsza niżli z kimkolwiek z obywateli miasta. — To dobrze — rzekłem i chciałem powrócić już do mego ulubionego przedmiotu, kiedy nieznanomy powstrzymał mnie, pytając o ilość piorunochronów, określenie miejsc na dachu i gatunek pręta. Położenie moje było krytyczne, gdyż nie miałem o tych sprawach zielonego pojęcia. Lecz wyszedłem z tych oparów z honorem, tak że prawdopodobnie nie mógł spostrzec, że ma przed sobą nowicjusza. Kazałem umieścić na dachu osiem piorunochronów najlepszego gatunku. Oznajmił mi, że posiada trzy gatunki prętów: towar „zwykły” 20 centów za stopę; towar „miedziany” 25 centów oraz towar „cynkowy, spiralny” po 30 centów za stopę.

Ten ostatni gatunek ściąga wszystkie pioruny niezależnie od tego, kiedy i gdzie mają ochotę uderzyć, zaś „ich spłynięcie po piorunochronie jest bardzo delikatne, a dalszy bieg apokryficzny”. Powiedziałem, że słowo „apokryf” jest bardzo piękne, tym bardziej że znam je z filologii; pomijając ten szczegół pragnąłbym właśnie mieć piorunochron o kształcie spiralnym. Na to natręt oświadczył, że mógłby urządzić wszystko w taki sposób, aby na instalacje starczyło 250 stóp, lecz aby zrobić naprawdę ładną robotę, zdobyć uznanie chętnych i niechętnych oraz sympatie wszystkich miejscowych potentatów, sądzi, że trzeba by użyć 400 stóp. Dodał przy tym, że bynajmniej nie jest wymagający, że ma zamiar skonstruować prawdziwe arcydzieło z dziedziny piorunochronów i że ufa, iż da sobie radę z 400 stopami pręta. Powiedziałem, żeby wziął się do roboty i zużył 400 stóp, jeśli uważa to za stosowne. W ogóle może robić, co mu się podoba, byleby zostawił mnie w spokoju i pozwolił mi wrócić do mej pracy. W ten sposób nareszcie pozbyłem się go; teraz zaś, po półgodzinnym zbieraniu myśli, mogłem nareszcie kontynuować mój wykład o ekonomii politycznej.

...poświęcając mu zasoby swego geniuszu, doświadczenia i wykształcenia. Największe sławy w dziedzinie prawa handlowego, organizacji międzynarodowych oraz nauk biologicznych we wszystkich wiekach, cywilizacjach i narodowościach począwszy od Zoroastra, a skończywszy na Horacym Greeleyu zawsze...

W tym momencie na nowo mi przerwano. Musiałem zejść na dół i konferować z przedsiębiorcą od piorunochronów. Poszedłem pełen wzniosłych i szczytnych myśli, przybranych w słowa tak skomplikowane i majestatyczne, że obliczenie zawartych w nich zgłosek wymagałoby przynajmniej 15 minut czasu. Stałem przed nieznanym; byłem wzburzony i zdenerwowany — on zimny i pełen wyrachowania. Stał w pozie kolosa rodyjskiego, jedną nogą deptając moją tuberozę, drugą zaś — bratki. Ręce trzymał w kieszeniach, kapelusz miał nasunięty na czoło, jedno oko przymknięte, drugie patrzące z podziwem w kierunku komina. Powiedział mi, że powinienem już być szczęśliwy z obecnego stanu rzeczy, po czym zapytał:

— Czy nie uważa pan, że nie ma nic piękniejszego, nic bardziej porywającego niż osiem piorunochronów na jednym kominie?

Odrzekłem, że nic takiego nie przychodzi mi na myśl. On zaś dodał, że jedynym widokiem, który mógłby ewentualnie konkurować z jego dziełem, jest wodospad Niagary. Do stworzenia jednak całości zupełnie doskonałej, do uzyskania harmonii, będącej prawdziwym rajem dla oka, trzeba by przyozdobić piorunochronami również i inne kominy mego domu. W ten sposób „doda się ogólnemu coup d'oeil kojącej jednostajności kompozycji, która złagodzi podniecenie, wynikające z pierwszego coup d'etat”. Zapytałem go, z jakiej książki nauczył się tych pięknych wyrażen i czy nie mógłby mi jej pożyczyć. Z miłym uśmiechem odpowiedział, iż talent jego wyklucza erudycję książkową i że nic tak nie wyrabia elokwencji, jak częste przebywanie z piorunami. Wręczył mi następnie rachunek, stwierdzając, że należałoby postawić na moim dachu dalsze osiem piorunochronów; niewątpliwie 500 stóp pręta starczy na to w zupełności, gdyż, prawdę mówiąc, pomylił się nieco przy obliczeniu pierwszych ośmiu i zużytkował już nieco więcej materiału, niż przewidział był w czasie naszej pierwszej rozmowy. Odpowiedziałem, że bardzo się śpieszę i że rad bym już wszystkie te sprawy uregulować definitywnie, aby móc nareszcie wrócić do pracy. Rzekł mi na to: — Mógłbym ustawić te osiem piorunochronów i iść sobie do domu — wielu ludzi postąpiłoby w ten sposób. Ja jednak powiedziałem sobie: ten człowiek jest mi wprawdzie obcy, lecz prędzej umrę, aniżeli sprawię mu przykrość; na jego dachu jest wyraźnie za mało piorunochronów; nie ruszę się z tego miejsca, dopóki nie zrobię tego, co uważam za mój święty obowiązek, i dopóki nie będę mógł powiedzieć mu z czystym sumieniem: panie, spełniłem mą powinność i jeśli obecnie ów poseł gromowładnych niebios uderzy w pański...

— Już dobrze, dobrze — odparłem — postaw pan jeszcze osiem piorunochronów, weź 500 stóp spiralnych prętów, rób co chcesz i gdzie ci się tylko podoba. Daj tylko, na litość boską, spokój swym żalom i swemu krasomówstwu. Tymczasem sądzę, że się rozumiemy i wracam do pracy.

Przynajmniej godzinę siedziałem nad rozpoczętym artykułem, zanim udało mi się zebrać myśli, rozproszone ostatnią przerwą. Nareszcie dokonałem tego wysiłku i zacząłem pisać dalej.

...poświęcały wiele uwagi temu przedmiotowi, a najwięksi spośród nich znaleźli w ekonomii politycznej przeciwnika godnego ich umysłów, który po każdym starciu witał ich na nowo enigmatycznym i niezbadanym uśmiechem. Wielki Konfucjusz powiedział, że wolałby być głębokim znawcą ekonomii politycznej niż dyrektorem policji. Cyce.ro mawiał często, że ekonomia, polityczna jest największą dziedziną wiedzy, jaką może ogarnąć umysł ludzki; nawet nasz Greeley wyraził się, wprawdzie niejasno, lecz z niewątpliwą siłą, że ekonomia polityczna...

Nieznanomy na nowo zażądał widzenia ze mną. Zeszedłem w usposobieniu co najmniej niezyczliwym. Oświadczył, że wolałby skonać na miejscu, niż przeszkodzić mi w pracy. Jeśli jednak zobowiązał się do wykonania pięknej i dokładnej roboty i jeśli znużony po przebytych trudach patrzy na dach mego domu, domu, który jest mu tak bardzo bliski i drogi, a na którego dachu znajduje się tylko szesnaście piorunochronów, stanowiących jego jedyną osłonę przed burzą, to... — Panie — wrzasnąłem — postaw pan sto pięćdziesiąt, postaw kilka na kuchni! Tuzin na szopie, dwa na krowie! Przynajmniej jeden na kucharce! Rozrzucić je po całym domu tak, aby moja

nieszczęsna posiadłość wyglądała jak jeż o spiralnych, cynkowych, na końcu posrebrzanych kolecach! A teraz do roboty! Zużyj pan cały swój materiał, a gdy zabraknie ci piorunochronów, to stawiaj laski, drągi, pałki, strzelby, słowem wszystko, co zaspokoi twój nienasycony popęd do upiększania mego domostwa, a mnie pozwole nareszcie odetchnąć i zabrać się do pisania. — Przedsiębiorca od piorunochronów nie był wcale wzruszony moim przemówieniem. Wydawało się nawet, że zauważyłem cień uśmiechu na jego twarzy. Żelazna ta istota poprawiła sobie mankiety i powiedziała, że przystępuje do wykonania obstalunku. Wszystko to działo się chyba przed trzema godzinami. Wątpię, czy posiadam dość opanowania, aby dokończyć mój artykuł o ekonomii politycznej, ale nie potrafię oprzeć się memu zainteresowaniu tym pięknym przedmiotem, który jest mi bliższy i droższy niż cała filozofia tego świata.

...jest najcenniejszym darem niebios, przeznaczonym dla człowieka. Gdy lekkomyślny, acz uzdolniony Byron leżał w swym weneckim odludziu, zwykł mawiać, że gdyby młodość jego wróciła i gdyby miał rozpocząć na nowo swoje zmarnowane życie, to poświęciłby się całkowicie pisaniu rozpraw z dziedziny ekonomii politycznej, nie zaś kleceni frywolnych wierszy. Waszyngton ukochał tę świetną gałąź wiedzy; nazwiska Backera, Beckwitha, Judsona, Smitha związane są z nią nierozzerwalnie; nawet sam boski Homer śpiewał w IX księdze „Iliady”:

*Fiat iustitia, ruat coelum,
Post mortem unum, ante bellum,
Hic iacet hoc, ex parte res,
Politicum e-conomico est.*

Te wzniosłe myśli starego, barda, połączone ze szczęśliwym doborem wyrazów i subtelnością obrazowania, wślawiły te strofę i uczyniły ją głośniejszą niż jakakolwiek...

— Dość, mój panie. Nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Przedstaw mi pan swój rachunek i zostaw mnie, proszę, w spokoju. Dziewięćset dolarów? To już wszystko. Ten oto czek zrealizuje pan w każdym porządnym banku amerykańskim. Ale cóż to za zbiegowisko na ulicy? Co to ma znaczyć?

— Oglądają piorunochrony.

— Do diabła, czy nigdy nie widzieli piorunochronu? Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się oglądać takiego zbiegowiska przed tym domem!

W TRZY DNI POŹNIEJ

Jesteśmy wszyscy śmiertelnie znużeni. Przez dwadzieścia cztery godziny nasz najeżony piorunochronami dom był przedmiotem podziwu całego miasta. Teatry świeciły pustkami, najlepiej obmyślane efekty sceniczne bladły wobec świetności mego dachu. Nasza ulica zablokowana była całkowicie przez tłum gapiów, tłoczących się dniem i nocą; wielu spośród nich przybyło specjalnie z prowincji. Niemała ulgę przyniosła mi na drugi dzień burza; pioruny zaczęły zdobywać szturmem mój dom, używając wyrażenia starożytnego historyka Józefa.

Galeria, że tak powiem, opustoszała w jednej chwili.

W promieniu pół mili nie widać było na ulicy ani jednego gapia; za to wszystkie okoliczne domy roiły się od ludzi. Było ich pełno w oknach, na dachach, słowem wszędzie. I nie można brać im tego za złe, gdyż choćby zebrać wszystkie fajerwerki, puszczone przez jedno pokolenie w dniu 4 lipca*, nie dorównywałyby one jeszcze tej ognistej lawinie piorunów, bijących w mój dom tego fatalnego wieczoru. Według przybliżonego rachunku w ciągu czterdziestu minut uderzyło weń 765

* 4 lipca – święto narodowe w USA.

piorunów, które zbiegły po spiralnych, cynkowanych prętach z tak wielką szybkością, że żaden z nich nie miał prawdopodobnie czasu zorientować się w tej trasie. Przy tym bombardowaniu oberwała się tylko jedna dachówka, przypuszczalnie w chwili kiedy wszystkie piorunochrony zajęte były odprowadzaniem odnośnych piorunów. Zapewniam was, że nic podobnego nie widziano od początku świata. Przez cały dzień nikt z mych domowników nie mógł wychylić głowy przez okno, gdyż napięcie prądu było tak wielkie, że powodowało natychmiastowe łysienie. Kto wystawił swą bujną czuprynę, ten cofał głowę gładką niby kula bilardowa. Wreszcie ustał ten straszliwy szturm, kiedy w chmurach zabrakło już elektryczności. Cały jej zapas pochłonęły moje piorunochrony. Wtedy wypadłem na ulicę, zgromadziłem robotników i nie spoczliśmy pierwej, dopóki nie zdjęliśmy z mej posiadłości tego straszliwego uzbrojenia z wyjątkiem trzech piorunochronów na dachu, jednego na kuchni i jednego na stodole, które pozostały po dziś dzień. Dopiero teraz ludzie przechodzą na nowo koło mego domu. W tych dniach pełnych grozy nie tknąłem nawet rozpoczętej pracy o ekonomii politycznej. Jestem tak bardzo wyprowadzony z równowagi, że nie potrafiłbym napisać nic rozsądnego.

U w a g a

Kto refleksowałby na 3211 stóp cynkowanych, spiralnych prętów najwyższego gatunku oraz 631 posrebrzanych kolców (wszystko w dość dobrym stanie, choć nadwężone przez użycie — zdatne wciąż do normalnego wykorzystania), ten raczy zgłosić się do wydawcy niniejszej książeczki, który wskaże mu mój adres.

INTERVIEW*

Silnie zbudowany, zgrabny młodzieniec usiadł na moją prośbę, po czym oświadczył, że jest współpracownikiem „Pioruna Codziennego” i rozpoczął rozmowę:

— Mam nadzieję, iż nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że zrobię z panem maleńki interview.

— Pan ze mną...?

— No tak, że zrobię z panem interview.

— Ach tak, no dobrze — zgoda. Hm! Dobrze — dobrze.

Tego dnia jakoś nie wszystko było we mnie w porządku, moje siły duchowe, zdawało się, rzeczywiście ucierpiały nieco. Podeszedłem tedy do szafy z książkami i powertowawszy w niej jakieś sześć do siedmiu minut, poczułem, że muszę odwrócić się do młodego człowieka.

— Jak się to pisze? — zapytałem.

— Pisze? Co takiego?

— Interview.

— Wielki Boże! Po cóż pan to chce pisać?

— Ja wcale nie chcę tego pisać, chcę tylko zobaczyć, co to znaczy?

— Hm, to jest... muszę przyznać — dziwne. Ja przecież mogę panu powiedzieć, co to znaczy, jeśli pan — jeśli pan...

— No, to cudownie! To mi wystarczy. Będę panu niezmiernie wdzięczny.

— In: i-n, ter: t-e-r, inter-

— Więc pan to pisze przez „i”?

— Tak, naturalnie.

— Aha, to ja dlatego tak długo szukałem.

— No dobrze, szanowny panie, ale przez jaką literę chciał pan to pisać?

— O, tak, ja... ja... właściwie mówiąc, to nie wiem. Wyjąłem encyklopedię i szukałem w niej od końca, sądząc, że znajdę to pod rycinami. Cóż, kiedy to bardzo stare wydanie.

— Czcigodny przyjacielu, ryciny tego nie znalazłby pan nawet w najnowszym wy... przepraszam, drogi panie, nie weźmie mi pan za złe, jeżeli powiem, że... że... nie wygląda pan tak... inteligentnie, jak tego oczekiwałem. Bez obrazy, szanowny panie, bez obrazy.

— Ależ proszę, ależ proszę! Mnie często mówiono, i to ze strony ludzi, którzy nie schlebują i nie mogli mieć żadnego powodu do schlebienia, że ja pod każdym względem jestem wprost niezwykle. Tak, tak, mówią o tym z zachwytem.

— Rozumiem to. Ale wróćmy do tego interview. Pan wie, że jest zwyczaj interviewować każdego człowieka, który zyskał rozgłos...

— Doprawdy? Nie, o czymś podobnym nie słyszałem. Musi to być bardzo ciekawe. Jak pan to robi?

— (Hm — och — hm, hm — to odbiera wszelką odwagę.) Należałoby to niekiedy robić za pomocą kija; zwykle wszakże polega to na tym, że dziennikarz stawia pytania, a interviewowany udziela na nie odpowiedzi. Jest to teraz bardzo modne. Czy pozwoli mi pan zadać sobie pytania, które mogą wydobyć na światło dzienne najważniejsze punkty z pańskiej publicznej i prywatnej przeszłości?

— Ależ z przyjemnością, z przyjemnością. Posiadam wprawdzie bardzo złą pamięć, lecz mam nadzieję, że pan nie weźmie mi tego za złe. Pamięć moja bowiem jest dziwnie nieregularna... Czasem mknie ona galopem, a niekiedy trzeba aż czternastu dni, by przekroczyła jakiś określony punkt. Sprawia mi to wiele kłopotów.

— O, to nie szkodzi, o ile tylko uczyni pan wszystko, co jest w pańskiej mocy.

* Interview – ang. wywiad.

- Uczynię. Postaram się.
- Dziękuję panu. Czy jest pan już gotów rozpocząć?
- Jestem gotów.
- Ile pan ma lat?
- Dziewiętnaście, w czerwcu.
- Co pan mówi! Dałbym panu jakieś trzydzieści pięć lub trzydzieści sześć lat! Gdzie pan się urodził?
- W Missouri.
- Kiedy pan zaczął pisać swe utwory?
- W 1836 roku.
- Jak to, czyż to możliwe, skoro pan teraz ma dopiero lat dziewiętnaście?
- Nie wiem. Prawda, że to wygląda dziwnie?
- Rzeczywiście, wygląda to dziwnie. A kogo też pan uważa za najdziwniejszego człowieka wśród ludzi, których pan znał?
- Aarona Burra*.
- Przecież pan nie mógł znać Aarona Burra, skoro ma pan dopiero dziewiętnaście lat?
- No, jeśli pan jest lepiej ode mnie poinformowany, to czegoż pan się mnie pyta?
- Było to tylko przypuszczenie, nic więcej. Jak pan zapoznał się z panem Burrem?
- O, któregoś dnia znalazłem się przypadkowo na jego pogrzebie i wtedy on zwrócił się do mnie, abym nie robił takiego hałasu, i...
- Wielki Boże! Przecież skoro pan był na jego pogrzebie, to Burr musiał być umarły, a skoro był umarły, to jakżeż mógł się troszczyć o to, czy pan robi hałas, czy też nie?
- Nie wiem. Był to zawsze dziwny człowiek.
- W każdym bądź razie nie pojmuję tego. Powiada pan, że rozmawiał z panem i że był umarły...
- Ja wcale nie mówiłem, że był umarły.
- Więc czyżby żył?
- Hm, jedni mówili, że tak, drudzy, że nie.
- A jakie było pańskie zdanie?
- O, to mnie nie obchodziło. Przecież to nie był mój pogrzeb.
- A czy pan... a zresztą tak nie wyjaśnimy tej kwestii. Pozwoli mi pan zapytać o co innego. Którego dnia przyszedł pan na świat?
- W poniedziałek, 31 października 1693 roku.
- Co? To niemożliwe! Miałby pan w takim razie sto osiemdziesiąt lat. Jak pan to wytłumaczy?
- Wcale nie chcę tego tłumaczyć.
- Ależ powiedział pan przed chwilą, że ma pan dopiero dziewiętnaście lat, a teraz podaje pan sto osiemdziesiąt. Toż to ogromna sprzeczność!
- Ha! Zauważył pan to? (Uścisk dłoni.) Niejednokrotnie wydawało mi się to sprzecznością, ale, nie wiem dlaczego, jakoś nie mogłem tego rozstrzygnąć. Jak szybko pan spostrzega takie rzeczy!
- Dziękuję pięknie za komplement. Czy miał pan lub czy ma pan rodzeństwo?
- Hm! Zdaje mi się, że... że... tak, ale nie przypominam sobie.
- Hm, jest to najbardziej niezwykle wyznanie, jakie kiedykolwiek usłyszałem.
- Ejże, dlaczego pan tak mniema?
- Czyż mogę mniemać inaczej? Proszę, niech pan tu spojrzy. Czyj to wizerunek wisi tutaj na ścianie? Czyż nie jest to jeden z pańskich braci?
- Ależ tak, tak, tak! Dopiero teraz przypomniało mi się! Był to jeden z moich braci. To William
- zwaliśmy go Billem. Biedny, stary Bill.
- Jak to, czy umarł?
- To zależy, w każdym razie mam prawo tak przypuszczać. Nigdyśmy nie mogli tego stwierdzić.

* Aaron Burr (1756 – 1836) – pułkownik i wiceprezydent Unii.

Była to bardzo zagadkowa historia.

— To smutne, bardzo smutne. Zaginął zapewne?

— No tak, i to, że tak powiem, w sposób najzwyczajniejszy. Pogrzebaliśmy go.

— Pogrzebali! Pogrzebali, nie wiedząc, czy nie żyje?

— O, nie! Nie to. Był dostatecznie nieżywy.

— Przyznam się, że czegoś podobnego w życiu nie słyszałem. K t o ś umarł. K t o ś został pogrzebany. Więc do licha, gdzie tu tkwi zagadka?

— Ba! W tym właśnie sęk! O to właśnie idzie. Widzi pan, byliśmy bliźniętami — nieboszczyk i ja

— a gdy mieliśmy czternaście dni, zamieniono nas w wannie, przy czym jeden z nas utopił się. Ale nie wiedzieliśmy który. Niektórzy twierdzą, że to był Bill — inni zaś, że to ja.

— Tak, to dziwne. A co pan sądzi?

— Bóg raczy wiedzieć. Dałbym wszystko za to, gdybym mógł wyświecić tę zagadkę. Rzuciło to ponury cień na całe moje życie. Ale podzielę się z panem tajemnicą, której nie odkryłem dotąd żadnej żyjącej istocie. Jeden z nas miał na wierzchu lewej dłoni charakterystyczne znamię; to ja je miałem. To dziecko właśnie utopiło się.

— No więc! Nie uważam, ażeby po tym wszystkim sprawa była choć trochę zagadkowa.

— Nie? Ale ja uważam. W każdym razie nie pojmuję, jak moi bliscy mogli, na Boga, tak ślepo działać i pochować nie to dziecko, które trzeba było! Ale sza! — Nie mów pan o tym tam, gdzie mogłaby to posłyszeć moja rodzina. Bóg jeden wie, ile ciężkich zmartwień musiała doznać i bez tego.

— No, jak na dziś, myślę, że mam dość materiału, dziękuję panu bardzo, przepraszam, że go trudziłem. Chciałbym jednak bardzo... byłoby dla mnie bardzo ciekawe... posłyszeć sprawozdanie z pogrzebu Aarona Burra. Może by mi pan jeszcze powiedział, jakie okoliczności doprowadziły pana do przekonania, że Burr to taki niezwykle człowiek?

— O! To była tylko drobnostka. Na pięćdziesięciu ludzi ani jeden nie zauważyłby tego. Gdy przebrzmiała już mowa pogrzebowa, pochód miał wyruszyć na cmentarz, a trup pięknie leżał w trumnie, Burr odezwał się, że chce jeszcze rzucić ostatnie spojrzenie na kondukt pogrzebowy. Po czym wstał i przysiadł się do woźnicy na kozioł.

Po tych słowach młody reporter oddalił się z szacunkiem. Był to jegomość bardzo miły, towarzyski i chętnie bym zatrzymał go jeszcze u siebie przez czas dłuższy.

O SPRAWACH FILIPIŃSKICH

Odkupiliśmy wyspy od rzekomego ich właściciela i wykazaliśmy spryt godny zazdrości, kiedy, udając bezinteresownych przyjaciół, zwabiliśmy do pułapki darzący nas zaufaniem słaby naród i zatrzasnęliśmy pułapkę. Zdradziliśmy Agyinaldo, który był honorowym gościem naszej armii, gdy tylko przestał być nam potrzebny, i zapędziliśmy go w góry. Położyliśmy rękę na cały rozległy archipeląg, jakby całe to terytorium było rzeczywiście nasze: uspokoiśmy na zawsze tysiące mieszkańców wysp i sprawiliśmy im pogrzeb, zniszczyliśmy pola tych ludzi, spaliliśmy osiedla i pozbawili dachu nad głową osierocone dzieci i wdowy, wypędziliśmy z kraju i złamali serca wielu niewygodnych dla nas patriotów, a pozostałych dziesięć milionów Filipińczyków ujarzmiliśmy za pomocą „dobrowolnej asymilacji” (tak obłudnicy nazywają obecnie muszkiet). Otrzymaliśmy na własność trzysta nałożnic i innych niewolników naszego partnera, sułtana Zulu*, i nad wszystkimi tymi pirackimi trofeami wznieśliśmy nasz opiekuńczy sztandar.

Plemię ciemnoskórych dzikusów „Moro” zabarykadowało się w kraterze wygasłego wulkanu w pobliżu Giolo. Tubylcy byli nastawieni do nas wrogo i rozdrażnieni, gdyż od ośmiu lat staraliśmy się pozbawić ich wolności, i z tego powodu przebywanie ich w kraterze mogło stanowić dla nas groźbę. Dowódca nasz, Leonard Wood, posłał tam zwiadowców. Zwiad ustalił, że tubylców, wraz z dziećmi i kobietami, było sześćset osób i że otwór krateru znajduje się na wysokości 2 200 stóp nad poziomem morza. Wdrapanie się na szczyt — w dodatku z artylerią — nie było dla wojowników chrześcijańskich łatwym zadaniem. Generał Wood kazał napaść na tubylców zniecka i towarzyszył osobiście żołnierzom, aby zabezpieczyć powodzenie całej operacji. Wziąwszy za sobą kilka dział, oddziały wdrapywały się na górę okrężnymi, trudnymi do przejścia ścieżkami...

Po zbliżeniu się do krateru rozpoczęto bitwę. Żołnierzy naszych było 540. Dodano im jednostki pomocnicze, składające się z miejscowych policjantów (znajdujących się na naszym żołdzie) — ilu ich było, nie wiadomo — iż oddziału marynarzy, także o nieznanym liczebności. Można jednak przypuszczać, że siły były równe: sześciuset mężczyzn ponad kraterem po naszej stronie i sześćset mężczyzn, kobiet i dzieci na jego dnie. Głębokość krateru wynosiła — 50 stóp.

Rozkaz generała Wooda brzmiał: „Zabić lub też wziąć do niewoli 600 osób”.

Rozpoczęła się bitwa (tak się oficjalnie nazywa to, co się stało potem). Żołnierze nasi otwarli ogień armatni do ludzi znajdujących się na dnie krateru. Równocześnie strzelali do tubylców z karabinów i pistoletów. Dzicy stawiali rozpaczliwy opór — prawdopodobnie rzucali kamieniami (zresztą tak tylko przypuszczam, w depeszy nie wymieniono bowiem, jaką bronią rozporządzali tubylcy). Dotychczas plemię to posługiwało się przeważnie bronią składającą się z noży i maczug, i tylko czasami udawało im się zdobyć jakieś marne muszkiety.

W oficjalnym komunikacie powiedziano, że obie strony walczyły zawzięcie w ciągu półtorej doby i że bitwa zakończyła się całkowitym zwycięstwem oręża amerykańskiego. Następująca okoliczność potwierdza, że zwycięstwo było rzeczywiście całkowite: z sześciuset tubylców nie uszedł z życiem ani jeden człowiek. Było to świetne zwycięstwo, o czym świadczy jeszcze inna okoliczność: z sześciuset naszych bohaterów zginęło tylko piętnastu.

Generał Wood był przy tym obecny i obserwował przebieg bitwy. Rozkaz wydany przez niego głosił: „Zabić lub wziąć do niewoli tych dzikich”. Jest rzeczą zupełnie oczywistą, że ludzie generała Wooda widzieli w tym rozkazie prawo do poczynania sobie jak im się podobało, to jest, do zabijania lub brania do niewoli, w zależności od własnego upodobania. A upodobania naszych wojaków pozostają w tym kraju niezmiennie od ośmiu lat. Są to upodobania wierzących morderców...

* Zulu – grupa wysp w Indonezji należących do Stanów Zjednoczonych.

W komunikacie oficjalnym zgodnie z tradycją wysławia się i wynosi pod niebiosa „bohaterstwo” i „męstwo” naszych wojsk i oplakuje śmierć piętnastu osób. Wiele też powiedziano o rannych, których było 32. W depeszy wymieniono dokładnie i rzetelnie, ku wiadomości przyszłych historyków amerykańskich, rodzaj ran, jakie odniosły te 32 osoby. Pewien szeregowiec doznał iskaleczenia łokcia, podano nazwisko tego żołnierza. Inny żołnierz miał zadrapany koniec nosa. Nazwiska jego nie pominięto również w depeszy (po półtora dolara słowo!).

Następnego dnia gazety potwierdziły wiadomości, zakomunikowane oficjalnie w przeddzień. Znow wyliczono nazwiska piętnastu zabitych i trzydziestu dwóch rannych, znow opisano ich rany i wszystko to ozdobiono odpowiednimi epitetami...

Liczebność nieprzyjaciela określano na sześćset osób, nie wyłączając kobiet i dzieci, i wytrzebiliśmy ich co do nogi, nie zostawiając przy życiu nawet niemowlęcia, które by mogło oplakiwać śmierć matki. Było to bezsprzecznie największe zwycięstwo, jakie kiedykolwiek zostało wywalczone przez chrześcijańskich wojowników Stanów Zjednoczonych.

Jakże opinia ustosunkowała się do tej wiadomości? Wspaniałe wydarzenia znalazły odbicie we wspaniałych nagłówkach wszystkich gazet naszego miasta...

Ostatni nagłówek głosił, co następuje:

*PORUCZNIKA JOHNSONA WYBUCH POCISKU ZMIÓTŁ
Z PRZEDPIERSIA OKOPU
JOHNSON DZIELNIE KIEROWAŁ WALKĄ*

Wszystkie depesze pełne są wiadomości o Johnsonie... Przypomniało mi to jedną z ostatnich fars Gillette'a: „Gdzie spojrzysz, wszędzie Johnson!” Prawdopodobnie Johnson był jedynym rannym, którego rany warto było wystawić na pokaz.

Johnson ranny był odłamkiem w ramię. Odłamek był częścią pocisku — w komunikacie mówi się, że rana powstała wskutek wybuchu pocisku, który zwałił Johnsona z nóg. Tuziemcy w kraterze nie mieli artylerii — czyli że Johnson mógł być ranny jedynie wystrzałem z naszego dział. A więc, można uważać za fakt historyczny, że jedyny amerykański oficer, który otrzymał ranę wartą wzmianki, ucierpiał z ręki swoich, nie zaś z ręki nieprzyjaciół. Najbardziej prawdopodobne wydaje mi się następujące przypuszczenie: gdyby odsunięto naszych żołnierzy możliwie najdalej od własnej artylerii, wyszlibyśmy z tej najbardziej niezwyklej bitwy bez jednego zadraśnięcia...

W niedzielę, czyli wczoraj, telegraf przyniósł nowe wiadomości, jeszcze piękniejsze od poprzednich, wieńczące jeszcze większą chwałą nasze sztandary. Nagłówki wstępne gazet ogłuszyły czytelników informacją:

*PLEMIĘ „MORO” WYRZNIĘTE
WŚRÓD ZABITYCH SĄ KOBIETY*

„Wyrżnięte”, „rzeź” — tak, to odpowiednie określenia. Lepszych nie znajdziemy w najlepszym słowniku.

Inny nagłówek głosił:

*STŁOCZYLI SIĘ W KRATERZE WRAZ Z DZIEĆMI
I ZGINĘLI WSZYSCY...*

I oto przed naszymi oczyma mającą obrazy. Widzimy tych malców. Widzimy twarze wykrzywione przerażeniem. Słyszymy płacz. Widzimy, jak maleńkie rączki wyciągają się błagalnie do matki.

I jeszcze jeden nagłówek zapewnia, jak bezpiecznie czuli się nasi dzielni żołnierze w czasie

bitwy. Głosi on:

*W OKRUTNEJ BITWIE NA SZCZYCIE GÓRY DAJO
NIE MOŻNA BYŁO ODROŹNIĆ MĘŻCZYŹN OD KOBIET*

Nadzy dzicy znajdowali się tak głęboko, na dnie krateru przeistoczonego w pułapkę, że nasi żołnierze nie mogli... odróżnić dzieci od dorosłych mężczyzn. Była to, niewątpliwie, n a j b a r d z i e j b e z p i e c z n a bitwa ze wszystkich, w których kiedykolwiek uczestniczyli chrześcijańscy żołnierze którejkolwiek narodowości...

Gazety nazywają to „bitwą”. Czy podobne to było do bitwy? Nie, zgoła niepodobne...

Kiedy zakończyła się ta, za przeproszeniem, bitwa, na polu walki zostało nie mniej niż 200 rannych tubylców. Co się z nimi stało? Przecież żaden z nich nie wyżył!

Sprawa jest jasna: zrobiliśmy „czystą robotkę”, dorznęliśmy tych bezradnych ludzi i w ten sposób doprowadziliśmy do końca rozpoczęte dzieło...

LISTY CHIŃCZYKA

List pierwszy

Drogi Czin Fu! Wszystko załatwione. Porzucam naszą upokorzoną! uciemżoną ojczyznę i udaję się poprzez ocean do owego błogosławionego kraju, w którym wszyscy ludzie są wolni i równi i nikt nie narusza praw innego człowieka. Jadę do Ameryki! O, jakżeż nieocenione jest prawo Ameryki do mianowania się krajem wolności i ojczyzną śmiazków! Spoglądamy wszyscy z pożądaniem w tym kierunku i porównujemy w myśli nędzę, doznawaną w naszej ojczyźnie, z dostatkiem oczekującym nas w tym przybytku szczęśliwości. Wiemy, z jaką życzliwością przyjmowała Ameryka Włochów i Francuzów, i nieszczęśliwych wygłodzonych Irlandczyków, jak ofiarowała im chleb, pracę i wolność i jak byli jej za to wdzięczni. Wiemy również, że Ameryka udzieli chętnie gościnności także innym uciemżonym ludom, przygarnie każdego przybysza, nie pytając o narodowość, wiarę, kolor skóry...

A. Sun-chi

List drugi

Drogi Czin Fu! Jesteśmy już daleko na pełnym morzu w drodze do błogosławionego kraju wolności i ojczyzny śmiazków. Wkrótce będziemy tam, gdzie wszyscy ludzie są równi i nie wiedzą, co to cierpienie.

Dobry Amerykanin, który zaproponował mi wyjazd do jego ojczyzny, chce mi płacić dwanaście dolarów miesięcznie; stanowi to wiele razy więcej, niż mógłbym zarobić w Chinach. Przejazd mój kosztuje mnóstwo pieniędzy. Prawdę mówiąc, jest to cały majątek i będę musiał zwrócić ten wydatek, na razie jednak mój gospodarz wpłacił sam pieniądze i rozłożył należność wspaniałomyślnie na dłuższe raty. Muszę się przyznać, że żona, syn i obie córki pozostali u współnika mego gospodarza dla zagwarantowania płatności; jest to jednak, oczywiście, prosta formalność. Gospodarz powiedział, że ich nie sprzedadzą, że pieniądze, które winienem, zapłacę w terminie, i że wiara w człowieka była dla niego zawsze główną pociechą.

Myślałem, że po przyjeździe do Ameryki będę miał dwanaście dolarów, lecz konsul amerykański pobrał ode mnie dwa dolary za zaświadczenie na prawo jazdy statkiem. Powiedziano mi, że ma prawo pobrać dwa dolary za wystawienie jednego wspólnego zaświadczenia na prawo jazdy od wszystkich Chińczyków, znajdujących się na okręcie. Lecz on woli wystawić każdemu Chińczykowi oddzielne zaświadczenie. Statkiem jedzie tysiąc trzystu moich rodaków; w ten sposób konsul kładzie do kieszeni dwa tysiące sześćset dolarów. Gospodarz zapewnia, że gdy rząd w Waszyngtonie dowiedział się o tym szalbierstwie, był do tego stopnia oburzony, iż podjął w Kongresie energiczną próbę nadania wymuszę... chcę powiedzieć: pobieraniu cła formę prawną. Ponieważ jednak projekt ustawy nie uzyskał poparcia, konsul jest zmuszony pobierać cło bezprawnie do czasu, kiedy je nowy Kongres zalegalizuje. Co za szlachetny, cnotliwy kraj, w którym nie zdarzają się nadużycia i występki.

Umieszczono nas w tej części statku, którą zazwyczaj wyznacza się dla moich rodaków. Jest to tak zwana trzecia klasa. Gospodarz mówi, że umieszcza się nas tam dlatego, ponieważ nie zagraża tu żadne niebezpieczeństwo z powodu zmian temperatury i szkodliwego działania prądu. Jest to jeszcze jeden dowód wzruszającej troski Amerykanów o nieszczęśliwych cudzoziemców. Pomieszczenie jest, co prawda, nieco przeludnione, gorąco nam i ciasno. Nie ulega jednak wątpliwości, iż dzieje się to dla naszego własnego dobra.

Wczoraj moi rodacy wszczęli zwadę i kapitan skierował wprost w tłum strugę gorącej pary i oparzył mniej lub bardziej poważnie około stu osób. Skóra spadała z nieszczęśliwców całymi płatami. Rozległ się straszny krzyk, powstało zamieszanie i znowu dziesiątki osób, które zdołały uniknąć zetknięcia z gorącą parą, doznało w ścisku kontuzji lub ciężkiego kalectwa. Nie uskarżaliśmy się. Gospodarz powiedział, że na morzu postępuje się tak zawsze w razie kłótni wśród pasażerów i że w kajutach pierwszej i drugiej klasy, w których jadą Amerykanie, puszcza się parę regularnie co dwa, trzy dni.

Powinszuj mi, Czin Fu! Minie tydzień, dwa, znajdę się na ziemi amerykańskiej w objęciach jej gościnnych gospodarzy. Wyprostuję plecy i stanę się wolnym człowiekiem wśród wolnych ludzi.

A. Sun-chi

List trzeci

San Francisco, 18...

Drogi Czin Fu! Pełen radości zeszedłem na brzeg. Chciało mi się tańczyć, krzyczeć, śpiewać, całować błogosławioną ziemię kraju wolności i ojczyzny śmiazków. Nie zdołałem jednak zrobić nawet dwóch kroków, gdy człowiek w szarym mundurze dał mi mocnego kopniaka i powiedział, żebym zachowywał się rozważniej — tak mi gospodarz przetłumaczył jego słowa. Odszedłem na bok, gdy inny człowiek, odziany tak samo, zdzielił mnie krótką pałką i również poradził, abym zachowywał się oględniej. Kiedy zaś chciałem chwycić za koniec żerdzi, na której wisiał koszyk z moimi rzeczami i rzeczami Chun Wu, trzeci pan w mundurze zdzielił mnie kijem, pragnąc wskazać, że nie powinienem tego robić, a potem kopnął mnie, abym wiedział, iż jest zadowolony z mojego posłuszeństwa. Zjawił się jeszcze jeden pan, pogrzebał w naszych rzeczach i wywalił je na brudny bruk przystani. Następnie, wraz ze swym pomocnikiem, dokładnie nas zrewidował. Znaleźli niewielkie zawiniątko z opium, ukryte w sztucznej części warkocza Chun Wu. Po zabranii opium aresztowali Chun Wu i przekazali go jeszcze jednemu urzędnikowi, który uprowadził biedaka. Potem skonfiskowali bagaż Chun Wu, lecz ponieważ rzeczy Chun Wu w czasie rewizji pomieszane zostały z moimi, zabrali wszystkie. Powiedziałem, że mógłbym im pomóc przy oddzieleniu moich rzeczy, lecz pobili mnie i wyrazili przy tym życzenie, abym zachowywał się rozważniej.

Tak oto pozbyłem się rzeczy i towarzysza. Powiedziałem gospodarzowi, że jeżeli nie ma nic przeciwko temu i nie potrzebuje mojej pomocy, chciałbym trochę pospacerować i obejrzeć miasto. Nie chciałem, aby poznał, że jestem nieco zasmucony przyjęciem, którego doznałem w wielkim przytulisku wszystkich uciemnionych, i dlatego uśmiechnąłem się i starałem się mówić wesoło. Gospodarz powiedział jednak: „Zaczekaj trochę, trzeba cię zaszczepić, żebyś nie zachorował na ospę”. Uśmiechnąłem się i odparłem, że chorowałem już na ospę, o czym można się łatwo przekonać, obejrzawszy dzioby na mojej twarzy, i dlatego nie ma potrzeby robienia mi tego, co nazywa szczepieniem. Odpowiedział jednak, że takie jest prawo i że nie mogę uniknąć szczepienia. „Lekarz nie wypuści cię bez szczepienia — powiedział — ponieważ, zgodnie z obowiązującym prawem, szczepi ospę wszystkim przybywającym Chińczykom i pobiera za to po dziesięć dolarów od sztuki i możesz być spokojny, że żaden lekarz nie zechce się pozbawić zarobku tylko dlatego, iż jakiś Chińczyk przez własną głupotę chorował na ospę u siebie w ojczyźnie”. Przybył lekarz, zrobił swoje i zabrał moje ostatnie pieniądze — dziesięć dolarów, uzyskanych kosztem dwuletniej pracy i nędzy. O, gdyby ci, którzy stworzyli to prawo, wiedzieli, że w tym mieście mieszka mnóstwo lekarzy, którzy z radością wykonywaliby szczepienie za dolara lub półtora, nigdy by, oczywiście, nie kazali pobierać nadmiernej opłaty od biednego, bezbronno Irlandczyka, Włocha lub Chińczyka, zdążającego do ziemi obiecanej dla uratowania się od głodu i nędzy.

A. Sun-chi

Drogi Czin Fu! Minął już prawie miesiąc od czasu, gdy tu jestem. Zaczynam po trosze rozumieć tutejszy język. Gospodarzowi nie powiódł się zamiar odprzedania nas na plantacje w dalekich wschodnich regionach kraju. Toteż zwrócił nam wolność zobowiązując jedynie do zwrotu pieniędzy, wydatkowanych na nasz przyjazd. Musimy je wpłacić z naszego pierwszego zarobku. Mówi, że od każdego należy się po sześćdziesiąt dolarów.

W ten sposób już w dwa tygodnie po przybyciu odzyskaliśmy wolność. Przedtem mieszkaliśmy w strasznej ciasnocie, zamknięci na klucz w kilku domkach, oczekując rozstrzygnięcia swoich losów. Wybrałem się na poszukiwanie pracy. Byłem zmuszony do rozpoczynania kariery życiowej samotnie, w obcym kraju, bez przyjaciół, bez grosza w kieszeni. Ubranie, które miałem na sobie, stanowiło cały mój majątek. Jedyna rzecz, którą się mogłem pochwalić, było to dobre zdrowie. Nie gnębiły mnie również dręczące obawy, że w czasie mej nieobecności ktoś ukradnie mi rzeczy. Nie, nie mam racji. Zapomniałem, że w stosunku do biedaków w innych krajach posiadam nieoceniony przywilej — przebywam przecież w Ameryce! Znajduję się w przybytku uciemżonych i poniżonych, zesłanym nam przez niebiosa!

W chwili gdy owładnęła mną ta pocieszająca myśl, kilku młodych nicponi zaczęło szcuć na mnie złego psa. Próbowalem się bronić, nie mogłem jednak nic zrobić. Wbiegłem do sieni domu, lecz drzwi były zamknięte, znalazłem się we władzy psa. Chwytał mnie za gardło, gryzł w twarz, ręce, nogi. Krzyczałem i wołałem pomocy, lecz młodzieńcy śmieli się jedynie. Dwaj ludzie w szarych mundurach (nazywają się tu policjantami) popatrzyli na mnie chwilę i udali się wolno w dalszą drogę. Jakiś przechodzień zatrzymał ich jednak, zawrócił i powiedział, że powinni mnie uwolnić od psa. Wówczas policjanci odegnali go swymi pałkami. Było to wielkie szczęście, gdyż opływałem krwią i ubranie moje było całe w strzępach.

Wówczas przechodzień, który sprowadził policjantów, zapytał młodzieńców, dlaczego tak nieludzko postąpili ze mną, powiedzieli mu jednak, żeby się nie wtrącał do nie-swoich spraw. „Ci diabelni Chińczycy przyjeżdżają do Ameryki, aby wydzierać chleb z ust porządnych białych ludzi — oświadczyli — a gdy usiłujemy bronić naszych legalnych praw, znajdują się ludzie, którzy wszczynają z tego powodu jakieś brewerie”.

Zacząli wymyślać memu dobroczyńcy, a ponieważ zebrany tłum stał wyraźnie po ich stronie, musiał się oddalić. Poleciały za nim przekleństwa. Wówczas policjanci oświadczyli, że jestem aresztowany i powinienem udać się z nimi. Zapytałem jednego z nich, dlaczego zostałem aresztowany, uderzył mnie jednak pałką i kazał „zamknąć gębę”. Poprowadzono mnie zaufkiem w towarzystwie tłumu gapiów i uliczników, którzy obrzucali mnie wymysłami i kpinami. Weszliśmy do lokalu więziennego o kamiennej podłodze. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęły się wielkie cele o żelaznych kratkach zamiast drzwi. Pan, siedzący przy stole, zaczął coś pisać o mnie. Jeden z policjantów zameldował:

— Chińczyk ten jest oskarżony o naruszenie spokoju publicznego.

Usiłowałem coś powiedzieć w swojej obronie, lecz piszący pan powiedział:

— Głupią swoją gadaninę pozostaw dla siebie. Bezcelność nie pomoże ci tym razem. Będziesz się musiał uspokoić, przyjacielu, albo my cię uspokoiimy. Mów, jak się nazywasz?

— A. Sun-chi.

— A jak się nazywałeś przedtem?

Powiedziałem, że nie rozumiem, o co mu chodzi. Wówczas powiedział, że chce znać moje prawdziwe nazwisko, ponieważ nie wątpi, że zmienilem je po ostatnim przyłapaniu mnie na kradzieży kur. Przez dłuższą chwilę ryczeli ze śmiechu z tego powodu. Potem zrewidowali mnie i, oczywiście, nic nie znaleźli. Rozgniewało to ich ogromnie i zapytali, kto wniesie za mnie kaucję

albo zapłaci grzywnę. Odparłem, że jak mi się wydaje, nie zrobiłem nic złego, dlatego też nie rozumiem, po co trzeba wносить za mnie kaucję lub płacić grzywnę. Dali mi kilka szturchańców i poradzili, abym zachowywał się grzeczniej. Odparłem, że nie chciałem nikomu uchybić. Wówczas jeden z nich odprowadził mnie na bok i powiedział:

— Posłuchaj, Johnny, przestań kręcić. Jesteśmy ludzie praktyczni. Dawaj pięć dolarów i unikniesz przykrości. Taniej nie da się zrobić. Gadaj, jakich masz przyjaciół w mieście?

Odpowiedziałem, że w całej Ameryce nie mam ani jednego przyjaciela, że jestem cudzoziemcem, że dom mój znajduje się daleko i jestem bardzo biedny. I poprosiłem, żeby mnie puścili.

Wtedy policjant złapał mnie za kołnierz, potrząsnął z całych sił, powłókł poprzez podwórze więzienne i otworzył jedno z zakratowanych drzwi. Kopniakiem wepchnął mnie do celi.

— Będziesz tu gnić, ty pomocie diabelski — powiedział — dopóki nie zrozumiesz, że w Ameryce nie ma miejsca dla ludzi twego pokroju.

A. Sun-chi

DZIEJE GRZECZNEGO CHŁOPCZYKA

Żył sobie pewnego razu grzeczny chłopczyk, który nazywał się Jakub Blivens. Chłopiec ten zawsze słuchał rodziców, bez względu na to, jak dalece bezsensowne i głupie były ich rozkazy; poza tym odrabiał zawsze lekcje i nigdy nie spóźniał się do szkółki niedzielnej. Nie grywał nigdy w palanta, nawet wtedy gdy prosty rozum mówił mu, że jest to najpożyteczniejsza rzecz, jaką może zrobić danej chwili. Nikt spośród innych chłopców nie mógł go zrozumieć, tak dziwnie sobie poczynił. Nie chciał na przykład kłamać, choćby to nie wiem jak było dogodne i rozsądne. Mówił, że kłamstwo jest rzeczą brzydką — i basta. Słowem, był on uczciwy aż do śmieszności. Dziwactwa Jakuba przechodziły wszystko na świecie. Nie chciał na przykład grywać w kamyki w niedzielę, nie chciał niszczyć gniazd ptasich, nie chciał podawać rozpalonych monet małpom kataryniarzy; jak widzimy więc, nie interesowały go żadne godziwe rozrywki. Inni chłopcy próbowali wytłumaczyć sobie jego postępowanie, ale nie mogli dojść do żadnego zadowalniającego rezultatu... Jak już wspominałem, utworzyli sobie oni jakiś mglisty pogląd, że jest on „nienormalny”. Dlatego też wzięli go pod opiekę i nie pozwalali nikomu krzywdzić.

Ten grzeczny chłopczyk czytywał wszystkie książki, jakie zalecano do lektury w szkółce niedzielnej, i sprawiały mu one niezmierną przyjemność. W tym właśnie tkwiła cała tajemnica. Wierzył on w dobrych chłopczyków, o których mówią czy tanki szkólek niedzielnych; żywił ku nim całkowite zaufanie.

Ogromnie pragnął spotkać choć raz w życiu takiego wzorowego chłopczyka z krwi i kości, ale nigdy mu się to nie udało. Prawdopodobnie wszyscy oni wymarli przed nim. Kiedy czytał o jakimś szczególnie grzecznym chłopcu, to czym prędzej zerkał na koniec książki, by dowiedzieć się, co się z nim stało; gotów był bowiem przejść choćby tysiące mil, byle tylko móc ujrzeć go na własne oczy. Było to jednak bezcelowe: grzeczny chłopiec zawsze umierał w ostatnim rozdziale, przy czym rozdział ten zawierał rycinę, przedstawiającą pogrzeb; dokoła grobu stali wszyscy jego krewni i dzieci ze szkółki niedzielnej w przykrótkich spodenkach i ogromnych kapeluszach i wszyscy płakali w chusteczki do nosa, na które zużyto co najmniej półtora jarda materiału. I zawsze tak się kończyło. Jakub nie mógł nigdy poznać ani jednego z tych grzecznych chłopczyków już choćby z tego powodu, że umierali oni zawsze w ostatnim rozdziale.

Jakub żywił szlachetną ambicję dostania się na karty podręcznika szkółki niedzielnej. Pragnął figurować w takiej książeczce z rycinami, które wyobrażałyby, jak dumnie odmawia oszukiwania swej matki, ta zaś z radości przyciska go do serca; jak stoi na ganku i daje centa biednej żebraczce z sześciorgiem dzieci i oświadcza jej, że może swobodnie wydać te pieniądze, lecz nie powinna być rozrzutna, ponieważ rozrzutność jest grzechem; i wreszcie, jak wspaniałomyślnie nie zgadza się poskarżyć na niegrzecznego chłopca, który stale czyhał na niego na rogu ulicy, gdy Jakub wracał ze szkoły, ł bił go prętem po głowie, po czym gonił za nim do domu, krzycząc: hi! hi! — Takie miał ambicje młody Jakub Blivens. Pragnął dostać się do czytanki szkółki niedzielnej. Co prawda, było mu niekiedy jakoś nieswojo, gdy przypominał sobie, że grzeczni chłopcy zawsze umierają. Podobało mu się życie, toteż zawsze była to najbardziej przykra karta w dziejach chłopczyka z czytanki szkółki niedzielnej. Wiedział, że być grzecznym chłopcem — to rzecz niezbyt zdrowa. Wiedział, że być takim nienaturalnie grzecznym chłopcem, jak chłopcy w czy-tankach, jest rzeczą gorszą od suchot, wiedział, że ani jeden z nich nie był w stanie wytrzymać tego długo, toteż smutek ogarniał go na myśl, że jeśli zostanie uwieczniony w książeczce, to nigdy jej nie ujrzy; jeśli zaś książka będzie wydana przed jego śmiercią, to nie będzie miała powodzenia bez niezbędnej ryciny na końcu książki, wy-obrażającej jego pogrzeb. Jakież bowiem sens miałaby umoralniająca książka, skoro nie mogłaby przekazać ludziom rady i przestrogi, jakiej udzielił, umierając, swym współobywatelom. Tak więc, w końcu postanowił

zrobić najlepsze, co mógł uczynić w danych okolicznościach: żyć cnotliwie i wlec swą taczkę, póki sił starczy, mając w pogotowiu mowę przedśmiertną, przygotowaną na wszelki wypadek.

Cóż, kiedy jakoś nic nie udawało się temu chłopcu! Nic nie działało się tak jak trzeba, tak jak pisano o grzecznych chłopczykach w czytankach. Bohaterom książeczek na przykład wiodło się wszystko znakomicie, a tylko tutaj wszystko działało się na opak. Gdy Jakub ujrzał, że Jim Blake kradnie jabłka, i stanął pod drzewem, aby palnąć mu kazanie o złym chłopcu, który spadł z jabłoni sąsiada i złamał sobie rękę, to Jim istotnie runął z drzewa, łamiąc rękę jemu, podczas gdy sam nawet się nie zadrasnął. Jakub nie mógł tego zrozumieć. W książkach nigdy nie wyczytał nic podobnego.

Innym razem, gdy kilku niegrzecznych chłopców wtrąciło ślepego starca do błota, a Jakub nadbiegł, aby go podnieść i otrzymać odeń błogosławieństwo, to ślepcowi ani na myśl przyszło udzielić mu. błogosławieństwa, przeciwnie, uderzył go kijem po głowie, twierdząc, że właśnie Jakub wepchnął go do kałuży.

Nie zgadzało się to z żadną moralną opowieścią w czytankach, Jakub przejrzał je wszystkie starannie, ale nie znalazł precedensu.

Jakub niezmiernie pragnął znaleźć kulawego psa, bezdomnego i wygłodzonego przybłądę, chciał go sprowadzić do domu, odżywić i w zamian posiadać jego dozgonną życzliwość.

I oto wreszcie znalazł takiego psa i poczuł się szczęśliwy. Sprowadził go do domu, nakarmił, lecz gdy chciał go pogłaskać, pies rzucił się nań i poszarpał mu całe ubranie, pozostawiając tylko nieduże kępki z przodu, wskutek czego Jakub miał wygląd iście niezwykły! Zainterpelował w tej sprawie liczne autorytety, gdyż nie mógł wytłumaczyć sobie tego wypadku. Pies był tego samego gatunku, co w książkach, lecz poczynił sobie zupełnie inaczej. I tak działało się we wszystkich sprawach. Cokolwiek przedsięwziął ten chłopiec — zawsze kończyło się dlań niepomyślnie. Te same czyny, za które chłopcy w czytankach otrzymywali nagrody, stawały się dlań najbardziej fatalnymi imprezami, w jakie mógł się być wplątać.

Pewnego razu, idąc do szkoły niedzielnej, ujrzał, jak kilku niegrzecznych chłopców zamierza wybrać się na przejażdżkę żaglówką. Widząc to, przeraził się. Wiedział bowiem z czytanek, że chłopcy, którzy jeżdżą żaglówkami w niedzielę, zawsze toną.

I oto pobiegł, by ich o tym uprzedzić, ale właśnie wtedy potknął się o patyk i sam wpadł do rzeki. Jakiś przechodzień wyciągnął go stamtąd, po czym doktor wypompował zeń wodę i tchnął weń życie swymi zabiegami; cóż kiedy Jakub zaziębił się i przez dziewięć tygodni leżał w łóżku.

Najbardziej wszakże w tym wszystkim niepojęte było to, że owi niegrzeczni chłopcy najspokojniej w świecie jeździli sobie łódką przez cały dzień, po czym w całkiem niezrozumiały sposób wrócili do domu rozbawieni i cali. Wówczas Jakub oświadczył, że na nic podobnego nie natknął się w żadnych czytankach. Oszło mu to najzupełniej.

Przyszedłszy do siebie poczuł się nieco zbity z tropu, mimo to jednak postanowił kontynuować swe cnotliwe eksperymenty. Wiedział, że jego dotychczasowe czyny nie nadają się jeszcze do umieszczenia w czy tańce, ale ufał, że dostanie się tam kiedyś, jeżeli wytrzyma do końca na swej drodze. A gdyby nawet nie udało mu się przedsięwzięcie, to i tak pozostaje mu jeszcze na pociechę wygłoszenie mowy przedśmiertnej.

Przestudiował ponownie swe książki i uznał, że nadszedł już czas, kiedy powinien zgłosić się do pracy jako posługacz okrętowy. Udał się tedy do kapitana statku, ofiarowując mu swoje usługi, a gdy kapitan zapytał, czy ma jakieś rekomendacje, Jakub wyjął dumnie książeczkę z dedykacją i wskazał na słowa: „Jakubowi Bliyensowi od kochającego nauczyciela”. Ale kapitan statku był to snadź człowiek źle wychowany, oświadczył bowiem: „Po kiego diabła mi ten śmieć! Nie jest to żaden dowód, że umiesz zmywać naczynia i wylewać pomyje z kubłów”. Po czym dodał, że nie potrzebuje go wcale. Było to niewątpliwie najniezwyklejsze zdarzenie w życiu naszego bohatera. W czytankach szkolnych dedykacja nauczyciela budziła zawsze jak najczulsze uczucia u kapitanów okrętów i otwierała posiadaczom tejże drogi do wszystkich honorowych i intratnych

urzędów, jakimi dysponowali kapitanowie. Zawsze działa się tak we wszystkich książeczkach, przeczytanych przez Jakuba. Teraz dopiero nie wiedział, co począć.

Chłopcu temu nigdy się nic nie wiodło i nic nie działało się w jego życiu tak, jak pouczyły autorytety moralne i czytanek. Wreszcie pewnego razu, poszukując niegrzecznych chłopców, by im przeczytać jakieś kazanie, zastał ich zgrają na dziedzińcu starej huty; chłopcy ci bawili się czternastoma czy piętnastoma psami, które powiązali razem w długi łańcuch, po czym zamierzali ozdobić im ogony pustymi blaszankami po nitroglicerynie. Jakubowi serce zabiło mocniej. Usiadł na jednej z tych blaszank, leżącej w błocie (Jakub nigdy nie zwracał uwagi na błoto, gdy chodziło o spełnienie obowiązku), ujął najbliższego za obrozę, po czym utkwiał wzrok pełen wyrzutu w złym Tomie Jones. Ale w tym momencie wszedł na dziedziniec huty zarządca, pan McWolter, trzęsąc się z wściekłości.

Wszyscy niegrzeczni chłopcy w lot się rozbiegli, tylko Jakub Blivens powstał w poczuciu swej niewinności i rozpoczął jedno z owych przepięknych przemówień z czytanek szkółek niedzielnych, które zawsze zaczynają się od „O, sir!”, wbrew temu, że żaden chłopiec, ani grzeczny ani niegrzeczny, nie zaczyna nigdy żadnego zdania zwrotem: „O, sir!” Niestety, zarządca nie czekał na koniec przemówienia. Chwytał Jakuba Blivensa za ucho, zakręcił nim, po czym grzmotnął go swą olbrzymią łapą w tylną część ciała z taką siłą, że nasz grzeczny chłopiec wyleciał przez dach pomknął ku słońcu, wraz z piętnastoma psami, które snuły się za nim w górze, niby ogon latawca. Co się zaś przedśmiertnej mowy, to Jakub Blivens nie mógł już wygłosić, choć na ułożenie jej zmarnował tyle czasu, prawdopodobnie wygłosił ją ptakom, albowiem większa część jego ciała spadła na szczyt drzewa w jednym powieciu reszta zaś podzielona została skrupulatnie na cztery inne powiaty, skutkiem czego trzeba było aż pięciu badań sądowych, by wyjaśnić, czy Jakub żyje, czy też umarł jak się to stało... Tak oto zginął grzeczny chłopiec, który poczynił sobie niezmiennie w sposób szlachetny, ale osiągał zawsze rezultaty niezgodne z czytankami. Wszyscy chłopcy, poczynający sobie w sposób podobny, wychodzili na tym w czytankach jak najlepiej. Tylko z nim działało się inaczej. Los jego był, zaiste, niezwykły.

DZIEJE NIEGRZECZNEGO CHŁOPCZYKA

Był sobie na świecie niedobry chłopiec, którego nazywano Jim — mimo iż, jeśli państwo zechcecie wejrzeć w te sprawy, przekonacie się, że źli chłopcy w książkach przeznaczonych dla szkółek niedzielnych prawie zawsze noszą imię James. Dziwne, że ten właśnie nazywał się Jim, ale nie ma na to rady.

Jim nie miał chorej matki — pobożnej matki — która była chora na suchoty i chętnie zeszlaby do grobu, by odpocząć wreszcie, gdyby nie kochała tak bardzo swego syna i nie lękała się, że ludzie będą dlań zbyt surowi i zimni, skoro jej zabraknie. Większość złych chłopców w książkach szkolnych zwie się Jamesami i posiada chore matki, które uczą ich modlitwy wieczornej, nucą im żalonym czułym głosem kołysankę do snu, a potem całują ich na dobranoc, klęczą koło ich łóżka i płaczą.

Z tym jednak chłopcem sprawa miała się zupełnie inaczej. Nazywał się Jim, a matka jego była jak najzdrowsza, nie miała ani suchot, ani w ogóle niczego w tym rodzaju. Była zdrowa jak ryba, nie odznaczała się pobożnością, a przy tym wcale nie niepokoila się o Jima. Zwykła ona mawiać, że jeżeli nawet Jim skręci kark, to będzie to mała strata. Usypiała go zawsze klapsami i nigdy nie całowała na pożegnanie; przeciwnie, wychodząc z pokoju targała go za uszy.

Razu pewnego ów zły chłopak ukradł klucz od spiżarki, laźł tam, najadł się konfitur, a do słoika dołał smoły, aby matka nie zauważyła braku. I podczas tej operacji nie ogarnął go wcale nagły lęk, ani głos tajemniczy nie szepnął mu wcale: „Czy to dobrze nie słuchać mamy? Czy to nie grzech tak postępować? Dokąd idą niegrzeczni chłopcy zjadający konfitury swych dobrych, miłych matek?” Zły Jim nie ukląkł bynajmniej i nie przyrzekł solennie, że nigdy więcej nie będzie niegrzeczny, i nie wstał z lekkim sercem, i nie poszedł powiedzieć tego swojej mamusi, prosząc ją o przebaczenie, a ona nie pobłogosławiła go ze łzami dumy i wdzięczności w oczach. Nie. Tak dzieje się z wszystkimi niegrzeczными chłopcami w książkach szkolnych, lecz — chociaż jest to bardzo dziwne — z Jimem wszystko działo się inaczej. Jim pożarł konfitury, rzekł „klawo!” (według swojej wulgarnej manieri) — po czym zalał słoik smołą i znowu rzekł „klawo!”, wreszcie zaśmiał się dodając, że „stara wścieknie się chyba, gdy to zobaczy”... Gdy zaś ujrzała, Jim począł zaklinać się, że o niczym nie wie, po czym matka zbiła go różgą, i płakał on, nie zaś ona. Wszystko w tym chłopcu było niezwykle — wszystko działo się z nim inaczej, niż dzieje się z niegrzeczными Jamesami w książkach szkolnych.

Razu pewnego Jim wlaźł na jabłoń farmera Acrone'a po to, by kraść jabłka; gałąź załamała się, to prawda, ale Jim nie spadł i nie złamał sobie ręki, przy czym nie pogryzł go zły brytan farmera i Jim nie przeleżał kilku tygodni w łóżku; nie wpadł w skruchę i nie stał się grzecznym chłopczykiem. O, nie! Nakradł jabłek ile wlaźło, po czym najspokojniej w świecie zlaźł z drzewa; z psem doskonale dał sobie radę, cisnąwszy weń z całej siły cegłą, gdy pies nadbiegł, aby go rozszarpać. Jest to oczywiście dziwne, gdyż nic podobnego nigdy nie zdarzyło się w tych miłych książeczkach w kolorowych okładkach, przedstawiających mężczyzn w przedziwnych frakowych marynarkach, grzybiastych kapeluszach i przykrótkich spodniach, kobiety zaś w sukniach, jakich nie spotyka się w życiu. Nie — nic podobnego nie trafia się w żadnej książce, przeznaczonej dla naszych szkółek niedzielnych.

Innym razem Jim skradł scyzoryk swemu nauczycielowi, a lękając się, że zostanie zdemaskowany i obity, wsunął scyzoryk w czapkę George'a Wilsona, syna biednej wdowy pani Wilson, chłopca moralnego, najbardziej przykładnego chłopca ze wsi, który zawsze słuchał matki i nigdy nie mówił nieprawdy, kochał swe lekcje i ubóstwiał szkołę niedzielną. I kiedy scyzoryk wypadł mu z czapki i biedny George zwiesił głowę i poczerwieniał jak gdyby w poczuciu winy, a zasmucony nauczyciel musiał zarzucić mu kradzież i już-już zamierzał opuścić różgę na jego

drżące plecy — siwowłosa, nieprawdopodobny sędzia z sądu pokoju nie ukazał się nagle między nimi, nie wyciągnął uroczyście ręki i nie oświadczył: „Wara od tego szlachetnego chłopca, tam oto stoi przestępca! Przechodziłem właśnie podczas pauzy koło szkoły i — nie zauważony przez nikogo — widziałem, jak dokonane zostało przestępstwo!” I po tym wszystkim Jima nie obito różgami, a czcigodny sędzia, z pełnymi łez oczyma, nie wygłosił kazania i nie wziął George'a Wilsona za rękę, i nie oświadczył, że taki chłopiec godzien jest lepszego losu, i nie kazał mu przyjść później do siebie, by mieszkał z nim pod jednym dachem, zamiatał mu biuro, palił w piecu, biegał za posyłkami, rąbał drzewo, studiował prawo, był pomocnym żonie sędziego w gospodarstwie, zaś z całego pozostałego czasu korzystał dla swej zabawy, a za to wszystko otrzymywał po czterdzieści centów na miesiąc i rozkoszował się swym szczęściem. Nie. Tak byłoby się działo w książkach, ale tak nie stało się z George'em. Żaden stary krętacz sądowy nie wmieszał się do tej sprawy, toteż przykładowy chłopiec George Wilson dostał lanie, Jim zaś cieszył się z tego dlatego, że Jim, proszą państwa, nienawidził przykładowych chłopców. Jim mówił, że „wstrętne mu są te zmokłe kury”. Oto, jak się wyrażał ten zły, niegrzeczny chłopiec.

Ale najdziwniejsze ze wszystkiego, co działo się z Jimem, było to, że pojechał on łódką na przejażdżkę w niedzielę i nie utonął; innym zaś razem spotkała go burza, gdy łapał ryby w niedzielę i bynajmniej nie zginął od pioruna!

Możecie państwo przeglądać wszystkie książki szkółek zielnych od dnia dzisiejszego aż po najbliższe święta Bożego Narodzenia i nie spotkacie nigdzie podobnych fenomenów. Przeciwnie, przeczytacie tam, że wszyscy niegrzeczni chłopcy, którzy jeździli w niedzielę łódką, musieli niechybnie utonąć i że wszystkich niegrzecznych chłopców, których spotkała burza podczas łowienia ryb w niedzielę, musiał koniecznie zabić piorun. Łódki z niegrzeczными chłopcami zawsze wywracają się i zawsze bywa burza, gdy niegrzeczni chłopcy łapią ryby w niedzielę.

W jaki więc sposób ocalał Jim — pozostaje naprawdę tajemnicą.

Jim, jak się wydaje, był jakiś zaczarowany, tak, na pewno tak być musiało. Wszystko mu uchodziło płazem. Jim podsunął nawet słoniowi w menażerii paczkę tytoniu i słon nie zmiażdżył mu czaszki trąbą. Innym razem zakradł się do kredensu po wodę miętową i wcale nie napił się przez omyłkę witriolu. Ukradł także ojcu fuzję, z której strzelał co niedzielę, i mimo to ani razu nie ustrzelił sobie trzech czy czterech palców. Raz w gniewie walnął swą najmłodszą siostrzyczkę w czoło, ale ona nie wiła się w bólach w ciągu długich dni letnich i nie umarła ze słowami przebaczenia na wargach, słowami, które zdwoiły cierpienia jego udręczonego serca. Nie, ona to przeżyła. A wreszcie, Jim uciekł z domu i wstąpił do marynarki, ale wróciwszy do ojczyzny nie poczuł się osamotniony na świecie, dowiedziawszy się, że jego bliscy śpią na cichym cmentarzyku, zaś porośnięty winem dom jego dzieciństwa już niemal zapadł się ze starości. O, nie! Jim wrócił do domu pijany jak szewc i na samym progu ojczyzny dostał się do komisariatu.

Wreszcie wyrósł i ożenił się, spłodził chmarę dzieci i raz w nocy zmiażdżył im wszystkim głowy siekierą; następnie, z bogacił się na swoich łajdactwach i oszustwach; dziś jest najohydniejszym łotrem w swojej wsi rodzinnej, cieszy się ogólnym poważaniem i został wybrany do Kongresu.

Sami więc, państwo, widzicie, że żadnemu niegrzeczemu Jamesowi z książeczek dla szkółek niedzielnych nie wiodło się nigdy tak dobrze jak grzesznemu i najwidoczniej zaczarowanemu Jimowi.

KRÓL I OSIOŁ

I

Mały obszar, o którym mowa, był tysiąc lat temu maleńkim, prześlicznym i bajecznym — jeżeli tak można się wyrazić — królestwem. Z dala od wszelkich swarów, od hałaśliwej cywilizacji i zbrojnych waśni, królestwo to cieszyło się błogim spokojem, ludność zaś jego odznaczała się łagodnością i pokorą. Wszystko jak gdyby tonęło tam w cichej drzemce, panował świąteczny, niczym nie zakłócony błogostan. Nie było złości, nienawiści ani próżności i dlatego nie było smutków ani nieszczęść, jak w innych krajach...

Stary król umarł, a na tron wstąpił syn jego — Hubert. Miłość ludu ku niemu rosła coraz bardziej. Był on taki dobry, czysty i szlachetny, że miłość ta przekształciła się z wolna w rodzaj namiętności, niemal w ubóstwienie. Od chwili jego przyjścia na świat astrologowie uważnie badali gwiazdy i wreszcie w iskrzącej się księżde niebieskiej wyczytali, co następuje:

W czternastym roku życia Huberta zajdzie ważny fakt: stworzenie, którego śpiew wyda mu się najcudniejszy na świecie, ocali mu życie. I jak długo lud czcić będzie to stworzenie za jego dobry uczynek, starożytna dynastia nigdy nie będzie cierpiała na brak następców, a lud nie zazna ani chorób, ani biedy. Ale strzeżcie się złego wyboru!

A gdy król rozpoczął trzynasty rok życia, cały naród wraz z astrologami, ministrami i całym małym parlamentem królestwa zastanawiać się począł nad pytaniem: jak rozumieć należy ostatnie zdanie proroctwa?

Sądząc z sensu pierwszych zdań, owo zbawcze stworzenie winno być niejako samo się zgłosić w oznaczonym czasie, końcowe zaś zdania sugerowały, że król winien sam dokonać wyboru i zdecydować, jakie ze śpiewających stworzeń najbardziej mu się podoba; jeżeli wybierze mądrze, to wybrane przezeń stworzenie ocali mu życie, ocali dynastię i lud; gdy zaś zrobi zły wybór, wybór błędny — wtedy biada mu!...

Pod koniec roku było tyle przeróżnych zdań w tej materii, ile na początku. Jednakże większość mędrców, jak i pospolitych śmiertelników, zgadzała się co do tego, że najstosowniej byłoby, gdyby mały król już teraz zrobił swój wybór, im prędzej bowiem — tym lepiej.

Wobec tego wydano rozkaz, aby każdy, ktokolwiek posiada stworzenia odznaczające się jakimkolwiek choćby darem śpiewu, dostarczył je do wielkiej sali pałacowej w pierwszy dzień nowego roku.

Naturalnie rozkaz ściśle wypełniono. Kiedy już wszystko przygotowane zostało do eksperymentu, wprowadzono uroczyście małego króla w otoczeniu całej świty urzędników i dygnitarzy królewskich, strojnych w paradne mundury.

Król zasiadł na złotym tronie i już oczekiwano wyroku z szlachetnych ust królewskich, gdy władca, zamiast wyroku, zaopiniował, że nie jest w stanie uczynić wyboru, gdyż:

— Stworzenia te — rzekł — śpiewają wszystkie razem. Hałas, jaki sprawiają, jest wprost nieznośny. Niemożliwością jest dokonać wyboru w tych warunkach. Zabierzcie je stąd wszystkie i pokazujcie pojedynczo w moim pałacu.

Tak też uczyniono.

Każde ze śpiewających stworzeń czyniło wszelkie możliwe wysiłki, by oczarować swym

słodkim śpiewem uszy królewskie, jednak bezskutecznie. Nie dokonano więc wyboru.

A drogocenne chwile mijały... Król z coraz to większą trudnością orientował się wśród swej mnogości cudownych śpiewaków. Na domiar złego nie opuszczała go ani na chwilę myśl o zapowiedzianej karze za zły wybór. Stawał się coraz bardziej i bardziej niezdecydowany i bał się zaufać własnym uszom.

Nerwowość jego wzrastała i począł zdradzać niepokój. Ministrowie zauważyli to, ponieważ nie spuszczała z niego oczu ani na chwilę. W duchu i oni również niepokoił się mocno. „Stracił męstwo... stracił zimną krew! — myśleli ministrowie. — Niewątpliwie popełni błąd! A wtedy on sam i jego dynastia, i jego lud skazani będą na zgubę!”

Minęła godzina. Król, który siedział długo w milczeniu, odezwał się:

— Przynieście mi jeszcze raz szczygła!

Przyniesiono szczygła, który rozpoczął swój radosny śpiew.

W czasie pieśni szczyglej król już-już gotów był podnieść berło na znak zgody i aprobaty, ale zatrzymał się i rzekł:

— Nie, trzeba jeszcze raz się przekonać... Przynieście mi derkacza, niech zaśpiewają razem.

Przyniesiono derkacza i oba ptaki jednocześnie wywodzić zaczęły swe cudowne trele. Lecz jego królewska mość ani rusz nie mógł zdecydować się na wybór, mimo to po dłuższej chwili namysłu zdawał się już przechylać na stronę szczygła — gdyż dostojne oblicze rozjaśniło się na moment... Nadzieja napełniła błogością serca ministrów, puls począł im bić mocniej... Oto berło jego poczęło się zwolna podnosić ku górze, gdy wtem...

Powietrze przeszyły ohydne ryki, rozlegające się za drzwiami:

— Muu-hi! Muu-hi! Muu-hi!

Nieopisany przestрах ogarnął obecnych, a jednocześnie i niezadowolenie, że zdradzili się z owym lękiem.

W chwilę potem wbiegła do komnaty prześliczna maleńka dziewięcioletnia dziewczynka, chłopskie dziecko. Jej oczka iskrzyły się dziecięcą wesołością; gdy ujrzała jednak tylu znakomitych dygnitarzy i tyle gniewnych twarzy dostojników — zatrzymała się, opuściła cudną główkę i podniosła gruby fartuch do oczu...

Nikt nie powitał jej, nie wyraził współczucia. Wreszcie, zawstydzona, podniosła swe zapłakane oczy i rzekła:

— Królu mój, królu, wybac mi! Nie chciałam zrobić nic złego. Nie mam ani matki, ani ojca, ale mam kozę i osiołka. Kozą daje mi słodkie mleko, a kiedy mój biedny osiołek ryczy, to zdaje mi się, że doprawdy nie ma na świecie piękniejszej muzyki. Dlatego też, gdy wysłaniec królewski rzekł, że najcudowniejszy śpiewak ze stworzeń boskich zbawi króla i lud, to postanowiłam przyprowadzić tu mego osiołka...

Cały dwór zatrzęsł się od trywialnego śmiechu, a dziewczynka zaczęła płakać i nie skończywszy swego przemówienia uciekła. Wtedy premier wydał rozkaz, aby przepędzono ją wraz z osłem jak najdalej od granic pałacu za tę zniewagę i nie pozwolono wracać...

Słuchanie trelów ptasich wznowiono. Oba ptaki śpiewały bajecznie, ale berło nieruchomo spoczywało w ręce królewskiej. Nadzieja gasła zwolna w duszach ministrów. Minęła godzina jedna, druga — a decyzji jak nie było, tak nie było. Dzień już chylił się ku końcowi, a tłum wyczekujący u progów pałacu ogarniała trwoga i zniecierpliwienie. Zmierzch zgęstniał tak, że wkrótce król i jego dworzanie nie byli w stanie rozpoznać się nawzajem. Grobowa cisza i mrok zaległy komnatę pałacu — nie myślano nawet o oświetleniu... Wielki eksperyment został przeprowadzony i zakończył się zupełnym fiaskiem! Wszyscy radzi byli ukryć twarze w mroku, aby nikt nie zauważył ich głębokiego smutku i niepokoju!

I naraz! Boskie, cudne, przebogate tony rozległy się w pałacu. Pływały z odległego kąta. Był to śpiew słowika.

— Wstańcie — zawołał król. — Bijcie we wszystkie dzwony i ogłoście ludowi, że wybór został

dokonany i że się nie omyliłem! Król, dynastia i lud — ocalone! Odtąd po wsze czasy czcicie słowika w tej krainie! Głoście całemu memu narodowi, że ten, kto znieważy słowika lub wyrządzi mu krzywdę, zostanie ukarany śmiercią!

Tak rzekł król.

Fala radości zalała cały maleński światek dworski. Pałac i miasto iluminowano różnobarwnymi ogniami, a radość trwała całą noc. Lud śpiewał, pił i tańczył, a bicie w dzwony nie ustawało ani na chwilę.

Odtąd słowik stał się świętym ptakiem. Jego śpiew rozlegał się w każdym domu. Poeci opiewali go w rymach, artyści malowali go na obrazach. Jego rzeźbione podobizny upiększały wszystkie pomniki i gmachy publiczne. Słowika przynoszono nawet do Rady Królewskiej i ani jedna ważna sprawa państwowa nie mogła być rozstrzygnięta, zanim mędrcy nie oddali mu jej wprawdzie pod rozwagę; potem dopiero donosili ministrom, co orzekł słowik.

II

Młody król bardzo lubił polować. Kiedy nadchodziło lato, wyjeżdżał na łowy z sokołami i chartami, w asyście świecącej od złota świty dworzan. Pewnego razu w czasie polowania oddalił się od swej świty, a pragnąc jak najprędzej odnaleźć ją z powrotem, obrał najkrótszą drogę przez gęstwinę leśną. Niestety zmylił drogę i zabłądził. Z początku nie tracił nadziei odnalezienia towarzyszy i jechał prosto przed siebie, ale wkrótce opuściło go męstwo. Zapadł zmrok, a on coraz bardziej zagłębiał się w puste, nie znane mu okolice. Błądząc tak, uległ nieszczęśliwemu wypadkowi. W mroku popędził nieostrożnie konia i nagle znalazł się na krawędzi urwiska. Jedna chwila i był na dnie przepaści. Położenie było straszne. Rumak skreślił kark, król zaś miał złamaną nogę.

Biedny, mały król leżał na dnie urwiska i omdlewał z okrutnego bólu, a każda godzina zdawała mu się miesiącem. Nasłuchiwał chciwie, czy nie rozlegną się dźwięki, które przyniosą mu ocalenie. Ale nie usłyszał ani głosów, ani dźwięków rogu, ani szczekania psów.

— Niech więc nadejdzie śmierć! Tak czy owak — zginąłem!

A właśnie w tej chwili w lesie, pośród głębokiej nocnej ciszy rozległy się dźwięki pieśni słowiczej.

— Jestem ocalony! — zawołał król. — Jestem ocalony! Jest to święty ptak, a zatem proroctwo spełniło się. Bogowie sami ocalili mnie dzięki dobremu wyborowi!

Król z trudem panował nad swą radością. Spodziewał się usłyszeć lada chwila dźwięk, który by wieścił mu bliską pomoc, lecz niestety, pomoc ta nie nadchodziła znikąd. Nastąpiło rozczarowanie. Mijały godziny. Pomocy nie było, a święty ptak śpiewał i śpiewał bezustannie.

I oto król począł naraz powątpiewać o trafności wyboru, starał się jednak zagłuszyć swe wątpliwości. Przed świtem ptak umilkł. Nastął ranek, a wraz z nim męki głodu i pragnienia, ale żadnej, żadnej pomocy!

Dzień zaświtał i zgasł. Wreszcie król przeklął słowika.

Zaraz po słowiku odezwał się derkacz. Król, gdy go usłyszał, rzekł sobie:

— Oto prawdziwy ptak! Mój wybór był fałszywy. Teraz nadejdzie pomoc.

Ale pomoc nie nadeszła. Król przeleżał w omdleniu kilka godzin. Kiedy oprzytomniał, zaśpiewał szczygieł. Ale teraz król słuchał go obojętnie. Przestał już wierzyć.

— Te ptaki — rzekł na głos — nie mogą mnie zbawić. Dynastia moja i mój lud przepadły na wieki!...

Obrócił się, aby umrzeć, gdyż tak już osłabł z głodu i pragnienia, iż czuł, że kres jego się zbliża. Pragnął umrzeć, aby uwolnić się od mąk. Długie, długie godziny przeleżał tak bez myśli, bez

ruchu. Po czym znów odzyskał przytomność.

Jutrznia trzeciego poranku rozlała swe blaski po świecie.

Ach, świat wydał się tak piękny jego znużonym oczom! Namiętne pragnienie życia wybuchło naraz w sercu młodzieńca i głęboka, gorąca modlitwa wydarła mu się z duszy, modlitwa o to, aby niebo zlitowało się wreszcie nad nim i pozwoliło mu znowu ujrzeć swój dom, swych przyjaciół. A w tej chwili dobiegł jego uszu cichy wprawdzie, słaby i daleki, lecz jakże upragniony, ryk. Wkrótce doszło jego wyteżonych uszu:

— Muu-hi! Muu-hi! Muu-hi!

I ta pieśń, doprawdy, była dla niego najśodsza. O, przyjemniejsza tysiąc razy od pieśni słowiczej, od pieśni *szczygła* czy derkacza, ponieważ przynosiła mu wybawienie i dawała pewność, że pomoc jest niedaleka.

— Jestem ocalony! — zawołał, — Święty śpiewak sam się zgłosił, jak przepowiedział uczony mag! Proroctwo spełniło się i moje życie, mój lud, moja dynastia są ocalone! Od tego dnia osioł będzie w moim narodzie świętym stworzeniem.

Boskie ryki zbliżały się coraz bardziej. I oto z góry zsunął się mały, łagodny osiołek, szczypiąc po drodze trawkę i porykując od czasu do czasu. Naraz spostrzegł niezwywego konia i rannego króla. Zbliżył się do niego i począł go delikatnie obwąchiwać. Król przywołał go, a osioł zgiął kolana, jak zwykł był czynić to zawsze, ilekroć jego mała gospodyni pragnęła go dosiąść. Z największą trudnością i wysiłkiem usadowił się młodzieniec na grzbiecie osła. Osioł porykując pobiegł przed siebie i zaniósł króla do chaty małej dziewczynki. Dziewczynka podłożyła królowi słomiany siennik, nakarmiła go kozim mlekiem, po czym pobiegła, aby powiadomić tych, którzy daremnie i w straszliwej trwodze poszukiwali króla.

Wkrótce król przyszedł zupełnie do siebie, po czym naj-pierwszym jego aktem było ogłoszenie osła świętym i nietykalnym stworzeniem! Drugim aktem było wprowadzenie tegoż osła do ministerstwa oświaty oraz zamianowanie go premierem. Trzecim aktem — zniszczenie wszystkich posagów i podobizn słowika i zastąpienie ich posagami ku czci osła, a czwartym edykt, że gdy mała dziewczynka skończy czternaście lat — obrana zostanie królową.

I król dotrzymał słowa.

Taka jest owa legenda. Wyjaśnia ona i tłumaczy, dlaczego te stare, rozpadające się mury ozdobione są podobiznami osła, a także dlaczego w ciągu tylu wieków premierem rządu Jego Królewskiej Mości jest zawsze osioł.

Tłumaczy ona również, dlaczego w ciągu tak wielu stuleci w królestwie owym wszystkie poematy, wszelkie księgi, wszelkie wielkie mowy, wszelkie uroczystości publiczne i królewskie proklamacje zaczynają się zawsze od boskich słów oślej pieśni:

— Muu-hi! Muu-hi! Muu-hi!

MOJE NOTATKI PARYSKIE

Paryżanin podróżuje niewiele; zna tylko swój język ojczysty, czyta tylko swoją literaturę i wskutek tego jest dość ograniczony oraz zadowolony z samego siebie. Ale bądźmy sprawiedliwi — są przecież Francuzi znający obce języki, a mianowicie kelnerzy. Między innymi umieją oni również po angielsku, tzn. znają ten język na sposób europejski, czyli: mogą się nim posługiwać nie rozumiejąc go. Bez wysiłku można ich zrozumieć, ale nie podobna powiedzieć coś po angielsku tak, aby byli w stanie to pojąć! Zdaje im się, że rozumieją; twierdzą nawet, że tak jest w istocie, ale mijają się z prawdą.

Miałem raz z pewną istotą tego rodzaju taką oto rozmowę. Spisałem ją na poczekaniu, aby zachować tekst z całą dokładnością.

Ja: — Jakie piękne pomarańcze. Skąd one pochodzą?

On: — Jeszcze kilka? Zaraz przyniosę.

Ja: — Nie, nie przynoś pan; chcę tylko wiedzieć, skąd one pochodzą — gdzie je hodują?

On: (z miną niewzruszoną, tonem podniesionym): — Ach, tak?

Ja: — Tak. Czy nie może mi pan wymienić kraju, w którym rosną?

On (łagodnie, tonem podniesionym): — Ach, tak?

Ja (zrezygowany): — Są bardzo dobre.

On: — Dobranoc! (Kłania się i oddala, wysoce z siebie zadowolony.)

Młodzieniec ten mógł być doskonale nauczyć się po angielsku, gdyby więcej się starał, lecz był on Francuzem i dlatego nie chciało mu się wysilać. Jakże inny jest nasz naród! Potrafi on wykorzystać każdą nadarżającą się sposobność. W Paryżu mieszka kilku protestantów francuskich — zbudowali sobie ładniutki kościółek przy jednej z wielkich Avenues, które rozchodzą się od Łuku Triumfalnego. Chcieli w tej swojej świątyni głosić prawdziwą naukę w szlachetnym francuskim języku i zyskać w ten sposób zbawienie. Cóż, kiedy popsuto im zabawę. Nasi rodacy przychodzą bowiem co niedziela do kościoła przed nimi i zapełniają całe wnętrze gmachu. A gdy duchowny wstępuje na ambonę, by wygłosić kazanie, to znajduje świątynię pełną pobożnych cudzoziemców, którzy siedzą przejęci oczekiwaniem, dzierżąc w rękach małe książeczki — snadź Biblie — oprawne w safian. Ale to tylko na oko tak wygląda; jest to bowiem nie Biblia, lecz doskonały i dokładny mały słownik francusko-angielski Bellowa, z formatu i oprawy wyglądający zupełnie jak Biblia. Ludzie ci przybyli tu, by się nauczyć języka francuskiego. Budynek zaś otrzymał przewisko: „Kościół gratisowej nauki francuskiego”.

Pilni ci ludzie zyskują tu prawdopodobnie więcej znajomości języka niżli ogólnego wykształcenia, ponieważ francuskie kazania, jak powiadają, podobnie jak francuskie przemówienia, nie wymieniają nigdy faktu historycznego, tylko jego datę; jeśli zaś jesteś, bracie, w złej komitywie z datami, to nic nie zrozumiesz. Francuskie przemówienia brzmią mniej więcej tak:

— Towarzysze, współobywatele, bracia, szlachetni członkowie naszego wielkiego i najdoskonalszego narodu, nie zapominajmy, że 21 stycznia rozerwał nasze kajdany; że 10 sierpnia oswobodził nas od sromotnej obecności szpiegów cudzoziemskich; że 5 września tłumaczył się sam przed ziemią i Bogiem; że 18 Brumaire'a nosił w sobie zarodek własnej kary; że 14 lipca był potężnym głosem wolności, zwiastującym nam zmartwychwstanie, nowe jutro i wzywa jacy m uciskane narody świata, by spojrzały w boskie oblicze Francji — i ożyły. I tu musimy jeszcze raz rzucić wieczne przekleństwo na męża 2 grudnia i oświadczyć głosem gromu, który jest najprawdziwszym głosem Francji, że bez niego historia świata nie znalazłaby ani 17 marca, ani 12 października, ani 19 stycznia, ani 22 kwietnia, ani 2 lipca, ani 14 lutego, ani 29 czerwca, ani 15 sierpnia, ani też 31 maja — że bez niego Francja, czysta, wspaniała, jedyna Francja, posiadałaby świetny i czysty kalendarz.

A co do kazania, to słyszałem o takim, które kończyło się w dziwny, niemniej jednak wymowny sposób:

— Moi pobożni słuchacze! Smutny jest powód, który nam każe wspominać męża 13 stycznia. Skutki olbrzymiej zbrodni z dnia 13 stycznia stoją we właściwym stosunku do potworności czynu. Bez niego nie byłoby 30 listopada — jakże żałosny widok! Okropne morderstwo 16 czerwca nie byłoby dokonane bez niego, a mąż 16 czerwca nie ujrzałby nigdy światła dziennego; jemu jedynie należy przypisać 3 września, jemu fatalny 12 października. Azali więc mamy być wdzięczni za ów 13 stycznia, który przyniósł tyle strasznych dopustów wam, mnie i wszystkim żyjącym? A jednak tak jest, moi przyjaciele, albowiem obdarzył nas tym, co bez niego i jedynie bez niego nigdy by się nie stało: błogosławionym dniem 25 grudnia!

Komentarze będą tu może na miejscu, mimo że wielu czytelnikom wydadzą się niepotrzebne. Mężem 13 stycznia jest Adam; zbrodnią tego dnia było zjedzenie jabłka; żałosny widok 30 listopada — to wypędzenie Adama i Ewy z raju; okropne morderstwo 16 czerwca — to zabicie Abla; wydarzenie 3 września oznaczało wyruszenie do krainy Nod*, dnia 12 października znikły najwyższe szczyty gór, zalane przez potop.

Kto chce we Francji iść do kościoła, niech zabierze ze sobą kalendarz — z komentarzami.

* Kraina Nod — biblijny kraj wygnania dla Kaina.

O FRYZJERACH

Wszystko na świecie podlega zmianom z wyjątkiem fryzjerów; ci nigdy się nie zmieniają. Twoje przeżycia w razurze, gdy wejdiesz tam po raz pierwszy, nie różnią się niczym od twych przeżyć aż do końca życia.

Tego poranka chciałem, jak zwykle, ogolić się. Kiedy zbliżałem się do drzwi fryzjerni z jednej strony, ktoś wchodził już z drugiej strony; rzecz, która zdarza się zawsze. Przyśpieszyłem kroku, trud mój był jednak daremny; człowiek ten wyprzedził mnie i zajął jedyne wolne krzesło — obsługiwane przez najlepszego fryzjera. Zdarza mi się to niemal codziennie. Usiadłem, w nadziei, że dostanę się w ręce lepszego z dwu pozostałych fryzjerów, ponieważ zaczął on już czesać swego klienta, podczas gdy jego kolega przygotowywał się zaledwie do strzyżenia. Z żywym zainteresowaniem czekałem na wynik tych wyścigów. Kiedy zobaczyłem, że numer dwa dogania numer jeden, ciekawość moja przemieniła się w trwogę. Gdy numer jeden wstrzymał się, aby sprzedać komuś brylantynę i pozostał w ten sposób zdecydowanie w tyle, obawa moja przemieniła się w paniczny lęk. Gdy numer jeden przystąpił dzielnie do roboty i kiedy obaj jednocześnie zdjęli swym klientom ręczniki, ścierali im puder z twarzy i szansę ich wyrównały się, nie mogłem złapać tchu z emocji, ale w momencie kulminacyjnym numer jeden zatrzymał się jeszcze na chwilę, by przejechać grzebieniem przez brwi swego klienta; zrozumiałem wówczas, że numer jeden przegrał i z wściekłością opuściłem fryzjernię, aby tylko nie wpaść w ręce numerowi dwa, gdyż nie posiadam na nieszczęście dość odwagi cywilnej potrzebnej do powiedzenia fryzjerowi, że wolę poczekać na jego kolegę. Przez piętnaście minut kręciłem się po ulicy, a następnie wróciłem pełen jak najlepszych nadziei. Wszystkie fotele zostały tymczasem zajęte, a oprócz tego cztery osoby czekały na swą kolejkę w milczeniu, z ponurymi i nietowarzyskimi minami, jak wszyscy ludzie czekający u fryzjera. Usiadłem na starej kanapie i na wstępie zacząłem odczytywać tytuły kosmetyków, reklamujących się we wszystkich możliwych językach; następnie odcyfrowałem nazwiska osób prywatnych, umieszczone na różnego rodzaju flaszeczkach, liczyłem półki w szafie, przyglądałem się brudnym, postrzępionym i tanim obrazom ulicznych batalistów, portretom byłych prezydentów i półnagich Turczynek, jak również tej nudnej i sakramentalnej rycinie, przedstawiającej młode dziewczę, nakładające dziadkowe okulary; przeklinałem niesamowity hałas, sprawiany przez kanarka i drozda, bez których nie może się obyć żaden porządny zakład fryzjerski, aż wreszcie sięgnąłem po najlepiej zakonserwowany tygodnik ilustrowany z zeszłego roku i przeglądałem w nim obrazy przebrzmiałych faktów.

Wreszcie przyszła na mnie kolej. Jakiś głos zawołał: „Następny” i — rzecz prosta — wpadłem w ręce fryzjera numer dwa. Tak bywa zawsze. Powiedziałem uprzejmie, że się spieszę, a słowa te wzruszyły go tak głęboko, jak gdyby słyszał je po raz pierwszy. Podniósł mi głowę, podłożył ręcznik pod brodę, przy czym manipulował w przykry sposób koło kołnierzyka. Zanurzył swe pazury w mych włosach i postawił diagnozę, iż należy je obciąć. Odrzekłem, że wcale sobie tego nie życzę. Wtedy po raz wtóry przejechał niby grabiami po mych włosach i zauważył, że należałoby je ze względu na panującą modę podciąć z tyłu. Odpowiedziałem, że zrobiłem to już przed ośmioma dniami. Przyjrzał się uważnie mojej czuprynie, po czym spytał z lekceważeniem, kto mnie strzygł. Odpowiedziałem bez ceregieli: „Pan sam”. Wówczas zabrał się do rozrabiania mydła, przeglądając się ciągle w lustrze, badając krytycznie swój zarost i niszcząc co większe pryszczki. Nareszcie zaczął nacierać mydłem jedną stronę mej twarzy i miał właśnie przejść do drugiej, kiedy walka psów na ulicy skłoniła go do wyjrzenia przez okno. Walce tej przyglądał się do końca, przy czym przegrał zakład do swego kolegi o 2 szylingi, co nappełniło mnie radością. Namydlił mi twarz, pociągając przy sposobności dwukrotnie pędzlem przez moje usta, i zaczął

właśnie masować mi twarz brudnymi rękami, kiedy dyskutując jednocześnie ze swym kolegą na temat walki psów, wpakował mi w usta dużą porcję mydła.

Następnie zaczął ostrzyć brzytwę na starym rzemyku od spodni; przerywał tę czynność dość często, aby opowiedzieć o wczorajszym balu maskowym, w którym brał udział przebrany za króla, w czerwonej pelerynce i fałszywych sobolach. Był tak dumny z faktu, że miał jako partnerkę pewną damulkę, którą oczarował swymi wdziękami, że imał się wszystkich sposobów, aby przedłużyć to opowiadanie, udając znudzenie z powodu docinków swych kolegów. Następnie przejrzał się w lustrze, odłożył brzytwę i uczesał się z wielką dokładnością, rozdzielając swe włosy z tyłu równiutkim przedziałkiem i szczotkując zawzięcie loczki nad uszami. W tym czasie mydło na mej twarzy wysychało i zaczęło wżerać się w skórę. Wtedy rozpoczął w końcu golenie, naciągając mi skórę palcami i od czasu do czasu posługując się moim nosem jako trzonkiem do odwracania głowy, to w tę, to w ową stronę, przy czym w wielce sympatyczny sposób kaszlał i spluwał.

Póki golił me policzki, nie odczuwałem bólu, ale kiedy przeszedł do podbródka, łyż zakręciły mi się w oczach. Nie przejmowałem się już faktem, że spoufala się zanadto z moją twarzą. Nie zwracałem już uwagi na ohydny odór czosnku, który wszyscy fryzjerzy konsumują w olbrzymich ilościach; obawiałem się bowiem, że mój oprawca zechce zapoznać się lada chwila z wewnętrzną budową mego ciała.

W tej chwili wsadził mi w usta paluch, chcąc dopomóc sobie w wygoleniu kącików ust, co umocniło mnie w przekonaniu, że fryzjer ten zajmuje się w razurze czyszczeniem lamp naftowych. Interesowało mnie zawsze, kto właściwie pełni tę funkcję: fryzjerzy czy też sam właściciel; dziś dopiero przekonałem się o tym na własnej skórze. Dla wypełnienia sobie czasu bawiłem się odgadywaniem, w którym miejscu skaleczy mnie mój oprawca. Lecz zanim doszedłem do jakichkolwiek przypuszczeń, fryzjer zrobił mi pokaźną ranę na podbródku.

Teraz zaczął na nowo ostrzyć swą brzytwę, co powinien był uczynić raczej przedtem. Nie jestem zwolennikiem zbytniego wygalania i dlatego nie życzyłem sobie, aby golił mnie po raz drugi; usiłowałem tedy skłonić go do odłożenia brzytwy; obawiałem się bowiem, by nie brał się powtórnie do mego podbródka, reagującego natychmiast zaczerwienieniem i pryszczami. Golarz zapewnił mnie, że pragnie jedynie zlikwidować niektóre nierówności; w tej samej chwili przejechał mię brzytwą po wrażliwym miejscu, a bolesne następstwa nie dały na siebie długo czekać. Wtedy umoczył ręcznik w jakimś cuchnącym, czerwonym płynie i w obrzydliwy sposób przykładał mi go do całej twarzy, tak jakby jakakolwiek ludzka istota kiedykolwiek tak się myła. Następnie wysuszył mą twarz jakimś gałganem, tak jakby jakakolwiek ludzka istota kiedykolwiek tak się wycierała. Później umoczył ręcznik w czerwonym płynie i przyłożył do rany, zalepił ranę białym proszkiem i na nowo startł wszystko ręcznikiem, i bez wątpienia nie przerwałby tej czynności nigdy, gdybym go nie poprosił, aby zostawił całą sprawę naturalnemu biegowi rzeczy. Wówczas napudrował mi całą głowę i zaczął krytycznie przypatrywać się moim włosom; po chwili zaproponował mi nabycie shampoону, gdyż włosy moje bardzo tego potrzebują. Ośmieliłem się wtrącić, że myłem sobie głowę poprzedniego dnia w kąpieli. Wówczas polecił mi pomadę pod nazwą „Przyjaciół Włosów Smitha”. Kiedy odmówiłem, zaczął zachwalać nowe perfumy Jonesa, pod nazwą „Rozkosze Toaletowe”. Gdy znów ustosunkowałem się negatywnie, chciał wtrącić mi pastę do zębów własnego wynalazku oraz starą brzytwę.

Gdy odrzuciłem i tę propozycję, powrócił do swej czynności, obsypał pudrem całe moje ciało nie wyłączając nóg, pomadował mimo mych protestów włosy, tarł je, czesał i na nowo targał, wyrwawszy zaś mi znaczną ich ilość, resztę zawzięcie szczotkował i w chwili, gdy wyczesał i brylantynował moje brwi, zabawiając mnie opowieścią o zdolnościach swego czarno nakrapianego jamnika, usłyszałem gwizd południowego pociągu, na który spóźniłem się o 5 minut. Wtedy zerwał mi ręcznik spod brody, raz jeszcze przejechał się łapą po mej twarzy, pociągnął grzebieniem po brwiach i wesoło zanucił: „Następny”.

W dwie godziny później fryzjer ten został tknięty apopleksją. Nie, nie wyjadę z miasta, zaczekam przynajmniej dzień. Nie mogę odmówić sobie przyjemności wzięcia, udziału w jego pogrzebie!

DZIEJE WENUS Z KAPITOLU

Rozdział I

(Scena przedstawia pracownię rzeźbiarską w Rzymie)

- Drogi Jerzy, jakże cię kocham!
- Wiem o tym, moja kochana Mario, lecz czemuż twój ojciec jest taki uparty?
- On nie ma złych intencji, kochanie, po prostu sztuka jest dlań szaleństwem, a prawdziwą wartość mają tylko towary kolonialne. Przypuszcza, że umarliśmy oboje z głodu.
- Do diabła z takimi zasadami! O, czemuż nie jestem raczej kupcem kolonialnym. Opłaca się to znacznie lepiej, niż być genialnie uzdolnionym rzeźbiarzem i głodować.
- Nie trać odwagi, drogi Jerzy. Jego uprzedzenia ku tobie znikną, skoro tylko te pięćdziesiąt tysięcy dolarów...
- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Czy wiesz, że nie zapłaciłem jeszcze komornego za ubiegły miesiąc?

Rozdział II

(Scena przedstawia wytworny apartament w Rzymie)

- Ależ, drogi panie, nie sądzę, aby ta rozmowa miała sens. Nie mam nic przeciwko panu, ale nie mogę wydać mej córki za nędzarza; wiem, że prócz miłości, sztuki i głodu, nie może pan jej ofiarować niczego.
- Panie, jestem ubogi, to prawda. Ale czyż sława jest niczym? *Wszak* wielce szanowny Bellamy Foodle z Arkansas utrzymuje, że mój ostatni posąg, przedstawiający Amerykę, jest arcydziełem rzeźbiarstwa i że imię moje będzie kiedyś należało do najślynniejszych!
- Bzdura, mój panie! Cóż wie ten osioł z Arkansas o tych sprawach? Sława jest niczym, zaś cena rynkowa pańskich wytworów jest chwiejna. Całe pół roku męczy się pan nad towarem, za który otrzyma pan najwyżej sto dolarów. Nie, nie, mój panie, póki nie zobaczę pięćdziesięciu tysięcy dolarów, nie oddam panu ręki mojej córki; wyjdzie ona za mąż za młodego Simpera. Daję panu pół roku czasu dla zebrania tej sumy. Do widzenia!
- Biada mi! Jestem zgubiony!

Rozdział III

(Scena przedstawia pracownię artysty)

- O, Johnie, przyjacielu z lat szkolnych, jestem najnieszczęśliwszym z ludzi!
- Bo jesteś niedołągą!
- Ze wszystkiego, co ukochałem, pozostała mi tylko ta nieszczęsna statua Ameryki, ale i ona nie okazuje mi żadnego współczucia; jej marmurowa postać jest tak cudna, a zarazem tak bezlitosna!
- Jesteś głupcem!
- Johnie!

- Bzdury i nic więcej. Mówiłeś przecież, że masz pół roku na zebranie tej sumy.
- Przestań szydzić, Johnie, widząc mnie w takiej rozpacz! Gdybym miał nawet sześć wieków czasu, czy mogłoby mnie to uratować? Czy mogę coś zdziałać? Bez imienia, kapitału i przyjaciół?
- Idioto! Tchórze! Niedorajdo! Sześć miesięcy to aż za dużo — pięć miesięcy wystarczy nam w zupełności.
- Oszalałeś?
- Pół roku to kawał czasu. Pozwól mi działać, a ja podejmuję się wszystko załatwić.
- Nie rozumiem cię, Johnie. Jakim sposobem możesz zdobyć dla mnie taką sumę?
- Pozwól, że będzie to od tej chwili moją sprawą. Ty nie wtrącaj się do niczego. Czy pozostawisz mi pełną swobodę?
- Przysięgam, że tak.

John ujął młotek i pozbawił „Amerykę” nosa. Po chwili uderzył po raz drugi i dwa palce posągu upadły na podłogę. Trzecie uderzenie pozbawiło „Amerykę” połowy ucha, następne — większej części palców u nóg oraz nogi do kolana.

Skończywszy to dzieło zniszczenia, John nałożył kapelusz i wyszedł. Jerzy przyglądał się w osłupieniu żalonym szczątkom swego posągu, który przypominał teraz swym wyglądem najgorszą zmore, po czym padł zemdłony na ziemię.

Po chwili powrócił John, wsadził swego przyjaciela wraz z posągiem do dorożki i gwizdząc ostatni przebój, wyruszył w drogę.

Zostawił przyjaciela swego w swym mieszkaniu, a sam zniknął wraz z posągiem na via Quirinalis.

Rozdział IV

(Scena przedstawia pracownię artysty)

— Oto dziś o drugiej po południu upływa pół roku od mej rozmowy z tym ohydny kupcem kolonialnym. Życie moje jest złamane. Wolałbym nie żyć. Nie jadłem wczoraj kolacji, a dziś rano śniadania. Nie śmiem już pokazać się w żadnej restauracji. Czy jestem głodny? Nie mówmy lepiej o tym. Szewc męczy mnie nieustannie, krawiec nie daje mi chwili spokoju, gospodarz napastuje bez przerwy. Jakże jestem nieszczęśliwy! Johna nie widziałem od chwili naszego rozstania. Ona zawsze czule się do mnie uśmiecha, ilekroć spotkamy się na ulicy, lecz ojciec zabrania jej patrzeć w moją stronę... Któż tam, do licha, dobija się do drzwi? Któż mnie znów nachodzi? Pewnie ten łotr, szewc. *P r o s z ę w e j ś ć!*

— Oby błogosławieństwo Boże towarzyszyło zawsze Wielmożnemu Panu. Oby niebo zsyłało na niego promienie swej łaski. Przyniosłem oto Jego Ekszelencji buty, lecz błagam, niech Wasza Wysokość nie wspomina o zapłacie. To naprawdę nic pilnego. Będę dumny, jeśli Jego Lordowska Mość zaszczycać mnie będzie nadal swymi zamówieniami. Adieu!

— Sam przynosi mi buty? Wychodzi, nie żądając zapłaty, i żegna mnie ukłonem według dworskiej etykiety! Cóż się dzieje na Boga? *P r o s z ę w e j ś ć!*

— Przepraszam, signor, ale przyniosłem Panu nowy garnitur...

— *P r o s z ę w e j ś ć!*

— Po tysiącokroć przepraszam Jaśnie Wielmożnego Pana, lecz właśnie wynająłem prześlizne mieszkanie. Nie godzi się bowiem, aby w tak nędznej izbie mój łaskawca...

— *P r o s z ę w e j ś ć!*

— Ośmielam się zabrać szanownemu Panu chwilę czasu, aby oświadczyć Panu, iż kredyt, który uległ ostatnio przez omyłkę zawieszeniu, nadal obowiązuje w całej pełni i że będziemy z naszej strony czuć się prawdziwie szczęśliwi i zobowiązani, jeśli czcigodny pan zechce nadal zaszczycać...

— Proszę wejść!

— Szlachetny młodzieńcze! Ona jest twoją! Za chwilę tu przyjdzie. Weź ją, pobierzcie się i bądźcie szczęśliwi! Niech was Bóg błogosławi! Hip, hip, hura...

— Proszę wejść!

— O, Jerzy mój jedyny i ukochany! Jesteśmy uratowani!

— O, Mario, najdroższe moje kochanie. Jesteśmy uratowani, ale przysięgam ci, że nic, a nic nie rozumiem.

Rozdział V

(Scena przedstawia rzymską kawiarnię)

Jeden z grupy Amerykanów czyta na głos i tłumaczy artykuł z dziennika „Il Slangwhanger di Roma”:

CUDOWNE ODKRYCIE

Przed sześcioma miesiącami signor John Smitthe, Amerykanin, zamieszkały od roku w Rzymie, zakupił w Kampanii maleńki kawałek ziemi, położony w pobliżu pomnika rodziny Scypionów, a należący ostatnio do zrujnowanego krewnego rodziny księżnej Borghese. Pan Smitthe udał się następnie do odnośnego urzędu, gdzie oświadczył, iż nabyty kawałek ziemi przekazał na własność pewnemu biednemu artyście amerykańskiemu, nazwiskiem Jerzy Arnold; pan Smitthe stwierdził, iż pragnie w ten sposób wynagrodzić panu Arnoldowi straty pieniężne, jakie tenże poniósł z jego winy w tym czasie, kiedy pan Smitthe był przed laty właścicielem małego majątku; wreszcie zeznał, iż celem zupełnego powetowania panu Arnoldowi powyższych strat, pragnie rzeczony kawałek ziemi uprawiać własnym kosztem. Przed czterema tygodniami, w czasie dokonywania na owym gruncie niezbędnych wykopów, signor Smitthe znalazł niezwykłą starożytną statuetkę, należącą niegdyś do największych skarbów sztuki rzymskiej. Była to wspaniała postać kobieca, która wzbudzała mimo powlekającej ją patyny wieków nieklamany podziw i zachwyt. Brakowało jej wprawdzie nosa, lewej nogi do kolana, ucha, kilku palców u prawej nogi oraz rąk, reszta jednak zachowała się w jak najlepszym stanie. Rząd nasz zgodnie z prawem objął w posiadanie statuetkę oraz wyznaczył komisję, złożoną ze znawców sztuki celem zbadania wartości wykopaliska oraz oszacowania ceny, jaką należy za nie wypłacić właścicielowi gruntu. Wydarzenie to okryte było aż do dnia wczorajszego najściślejszą tajemnicą. Komisja obradowała przy drzwiach zamkniętych. Wczoraj wieczorem orzeczono jednogłośnie, iż statuetka ta przedstawia Wenus dłuta genialnego, acz nieznanego mistrza z III wieku przed Chr. Komisja uznaje nadto statuetkę za jedno z najświetniejszych dzieł sztuki, jakie świat kiedykolwiek oglądał.

Okolo północy odbyto ostatnie posiedzenie i uradzono, iż Wenus przedstawia wartość 10 milionów franków. Ponieważ jednak według prawa i obyczaju rzymskiego właścicielem zabytków sztuki, wykopanych w Kampanii, staje się w połowie rząd, z prawem odkupu pozostałej połowy od właściciela, zatem p. Arnoldowi należy się suma 5 milionów franków. Dziś z rana Wenus przeniesiona zostanie do Kapitolu, w południe zaś komisja wręczy signorowi Arnoldowi przekaz pieniężny na sumę 5 milionów franków w złocie.

Chór głosów: — Cóż za szczęście! Szczęście całkiem niespotykane.

Głos: — Panowie, wnoszę projekt, aby założyć natychmiast amerykańskie towarzystwo akcyjne dla skupu terenów, na których dokonywano poszukiwań archeologicznych; towarzystwo to miałyby odpowiednie stosunki na Wall Street, aby sztucznie podwyższać i obniżać kurs akcji.

Wszyscy: — Załatwione.

Rozdział VI

(Scena przedstawia rzymski Kapitol w 10 lat później)

— Kochana Mario, oto jest najślawniejszy posąg świata, zwany powszechnie Wenus Kapitolińską. Słyszałaś na pewno wiele o tym posągu. Stoi on przed tobą wraz z wszystkimi brakami i obtrąceniami, które uzupełniali a raczej łatali najślawniejsi rzeźbiarze rzymscy; imiona ich przejdą choćby już z tej racji do historii. Jakże dziwne wydaje mi się to miejsce! Ileż mnie pracy kosztowało, zanim Rzym stał się właścicielem tego najwspanialszego dzieła sztuki na świecie!

— A swoją drogą, jakże wysoko oceniono wtedy tę statwę. Pomyśl — 10 milionów franków.

— Tak, taka jest jej wartość obecna.

— Jednakże, przyznasz, mój drogi Jerzy, że jest przepiękna.

— Prawda, ale była jeszcze piękniejsza, zanim drogi John nie utracił jej nosa. Przemysłny, genialny i szlachetny John! On to zbudował nasze szczęście. Ale, ale! Czy słyszysz, jak ten mały kaszle? Obawiam się, że ma koklusz. Kiedyż ty wreszcie nauczysz się uważać na dzieci!

Zakończenie

Wenus znajduje się po dziś dzień w Kapitolu i jest najbardziej zachwycającym zabytkiem starożytności na świecie. Gdybyście jednak mieli kiedykolwiek stanąć przed jej obliczem i wpaść w zachwyty, nie zapominajcie o jej prawdziwym pochodzeniu; gdybyście zaś wyczytali o jakimś skamieniałym olbrzymie wykopanym w Syrakuzach (stan New York) lub w innej jakiejś miejscowości, nie ekscytujcie się tym zbyt; i jeśli ktoś zaofiarowałby wam podobne wykopalisko za niewielką nawet sumę, nie kupujcież na Boga! Poślijcie tego człowieka bezpośrednio do Rzymu!

LITERATURA WSPANIAŁOMYŚLNYCH UCZYŃKÓW

Przez całe moje życie, począwszy od dzieciństwa, nie opuszczał mnie nałóg czytania znanego zbioru umoralniających opowiadań, skreślonych piórem znakomitego, wszechświatowej sławy bajkopisarza. Czytałem je bądź gwoli nauce, bądź przyjemności, którą mi sprawiały. Zbiór tych opowiadań zawsze leżał u mnie pod ręką i zawsze, ilekroć poczytałem źle myśleć o rodzaju ludzkim, zwracałem się do niego, a on wnet rozpraszał moje mizantropijne skłonności. Za każdym razem, gdy przyłapywałem się na uczuciach egoizmu, zazdrości, złośliwości — brałem je do ręki, a one podpowiadały mi, co trzeba czynić, by odegnąć od siebie jak najdalej te brzydkie przywary. I wielokroć żałowałem, że te wspaniałe opowiadania urywały się z reguły na jakimś szczęśliwym zdarzeniu, nie kontynuując historii poszczególnych bohaterów, poprzestając jedynie na wyliczaniu coraz to nowych czynów dobrych i szlachetnych. Pragnienie to rozrastało się w duszy mojej z takim uporem, że wreszcie postanowiłem zaspokoić je, wymyślając dalszy ciąg tych opowiadań. Zabrałem się tedy do rzeczy i po wielu trudach, i nader męczących studiach spełniłem swoje zadanie. Oto rezultaty mych wysiłków: dwie anegdoty uzupełnione dalszym ciągiem, który zdołałem dorobić dzięki mozolnej pracy.

SZLACHETNY PUDEL

Zdarzyło się raz, że miłosierny lekarz (lubiący czytywać książki) znalazł chorego, bezdomnego pudła ze złamaną łapą. Przyprowadził tedy biedne stworzenie do siebie, po czym zestawiwszy kość i nałożywszy bandaż na uszkodzoną kończynę, przywrócił małemu włóczędze wolność i przestał myśleć o tym wypadku. Ale jakież było jego zdumienie, kiedy w kilka dni później, otwierając drzwi, ujrzał szlachetnego pudła, cierpliwie czekającego nań w towarzystwie innego psa-włóczęgi, który wskutek nieszczęśliwego wypadku miał też złamaną łapę. Dobry lekarz niezwłocznie przyniósł ulgę cierpieniom biednego stworzenia, chyląc przy tym głowę przed niewypowiedzianą łaską i miłosierdziem Boga, który obrał sobie tak niepozorne narzędzie, jak biednego, bezdomnego pudła, po to, aby obudzić etc., etc., etc...

Ciąg dalszy

Nazajutrz miłosierny lekarz zastał oba psy około swych drzwi. Pełne wdzięczności oczekiwały jego wyjścia, a obok nich zauważył dwóch dalszych psich inwalidów. I te kaleki zostały wnet wyleczone, po czym wszystkie cztery psy wyniosły się w świat, pozostawiając miłosiernego lekarza bardziej niż kiedykolwiek wzruszonego i przepelnionego dziękczynnym zdumieniem. Minął dzień, nastał poranek. Koło drzwi siedziały już cztery opatrzone psy, a obok nich jeszcze cztery, spragnione opatrunku. Minął i ten dzień i nastał nowy, a oto już szesnaście psów, a pośród nich osiem nowych kalek, zajmowało trotuar przed jego domem, zaś przechodnie musieli je omijać. "W południe wszystkie złamane łapy zostały obandażowane, ale dziękczynne zdumienie w duszy miłosiernego lekarza poczęło mieszać się z uczuciami o charakterze zupełnie innym, znacznie mniej cnotliwym.

Raz jeszcze weszło słońce i rzuciło swe blaski na trzydzieści dwa psy — wśród nich szesnaście z połamanymi łapami — zajmujące cały trotuar i połowę jezdni; dwunodzy widzowie zajmowali resztę przestrzeni. Jęki rannych, radosne szczekanie uleczonych zwierząt, oraz komentarze obecnych obywateli zlewały się w chór głośny i podniosły. Ruch na tej ulicy ustał. Dobry lekarz wziął sobie do pomocy kilku chirurgów i jeszcze przed świtem zdołał ukończyć swą filantropijną pracę, wszelako gwoli ostrożności wystąpił poprzednio z grona członków towarzystwa

kościelnego, aby mieć możliwość wyrażania się z całą swobodą, wymaganą przez okoliczności. Ale wszystko na świecie ma kres. Kiedy znowu zaświtał ranek i dobry lekarz, wyjrawszy oknem, ujrzał zwarty, ogromny, ciągnący się hen, w dal, tłum psów wyjących błagalnie, wówczas rzekł: — Muszę wyznać, że ogłupiły mnie książki; opowiadają one tylko o pierwszej, przyjemnej części historii, o reszcie zaś milczą. Podaj no mi fuzję: sprawa zaszła zbyt daleko.

Wyszedł z fuzją, lecz podczas tego niechcący nastąpił na ogon pudlowi z prawdziwej opowieści i pudel czym prędzej ukąsił go w nogę, ponieważ był wściekły. Bowiem wielka i podniosła sprawa, której oddawał się ten pudel, przyprawiła go o tak silny, niezwykle entuzjasm, że w słabym łbie psim zawirowało wszystko i stąd wścieklizna. W miesiąc potem litościwy lekarz konał w mękach wodo-wstrętu, a przywoławszy swych płaczących przyjaciół, tymi słowy odezwał się do nich:

— Strzeżcie się książek. Ukazują one tylko połowę historii. Jeśli kiedykolwiek jaki biedny kaleka poprosi was o pomoc, a wy będziecie mieli wątpliwości co do rezultatów, jakie może mieć wasz dobry uczynek, to zachowajcie swe wątpliwości dla siebie, a proszącego o pomoc — raczej zabijcie.

Z tymi słowy obrócił się twarzą ku ścianie i wydał ostatnie tchnienie.

ŻYCZLIWY PISARZ

Pewien biedny, młody, początkujący literat daremnie dobijał się o przyjęcie do druku swych rękopisów. Wreszcie, kiedy widmo śmierci głodowej zajrzało mu w oczy, opowiedział o swym smętnym położeniu pewnemu znakomitemu pisarzowi, błagając go o radę i poparcie. Ten wspaniałomyślny człowiek bezzwłocznie odłożył swe własne sprawy na bok i zabrał się do czytania odrzuconych rękopisów. Skończywszy, uścisnął serdecznie dłoń młodzieńcowi i rzekł: — Znalazłem tu pewne wartościowe rzeczy: niech pan zajdzie do mnie jeszcze raz w poniedziałek.

O oznaczonej godzinie znakomity pisarz ze słodkim uśmiechem, nie mówiąc ani słowa, rozłożył przed młodzianem jeszcze wilgotny od drukarskiej farby tygodnik. Jakież było zdumienie biednego młodzieńca, gdy ujrzał na zadrukowanej stronie swój własny utwór!

— Czy zdołam kiedykolwiek — zawołał padając na kolana i zalewając się łzami — podziękować panu za ten wspaniałomyślny uczynek!

Znakomitym pisarzem był sławny Snodgrass, a owym biednym początkującym literatem, ocalonym w ten sposób od śmierci głodowej i całkowitego zapoznania, równie znakomity w przyszłości Snegsbay.

Niechajże ten podniosły wypadek skłoni was do wysłuchania każdego początkującego literata, który potrzebuje pomocy.

Ciąg dalszy

Na przyszły tydzień Snegsbay ukazał się z pięcioma odrzuconymi rękopisami. Znakomity pisarz był tym nieco zdumiony, ponieważ ubiegający się o sławę literacką młodzieńcy proszą o pomoc, jak się wydaje, raz tylko. Pomimo to przerobił starannie te utwory, usunąwszy zbędne kwiatki i wypełszy kilka zagonów niestosownych przymiotników, po czym udało mu się uzyskać to, że dwa utwory zostały przyjęte do druku.

Minął dalszy tydzień i wdzięczny Snegsbay przybył z nowym towarem. Znakomity pisarz doznał był za pierwszym razem, gdy pomógł biednemu debiutantowi, uczucia najwyższej satysfakcji moralnej i z dumą przyrównywał się do wielkodusznych bohaterów, o których czytał w książkach. Teraz atoli począł podejrzewać, że w dziedzinie szlchetnych epizodów natknął się na coś całkiem nowego. Tu entuzjasm jego ostygł nieco. Ale pomimo wszystko nie był w stanie odepchnąć pracowitego młodego pisarza, który uczepił się go z tak wzruszającą prostotą i

zaufaniem.

I oto wreszcie pokazało się, że znakomity autor począł zupełnie tracić siły pod ciężarem biednego początkującego pisarza. Wszystkie jego łagodne wysiłki, zmierzające do zrzucenia z siebie tego ciężaru, nie doprowadziły do niczego. Musiał co dzień udzielać rad, co dzień musiał zachęcać; zmuszony był bezustannie przerabiać utwory swego młodego przyjaciela, by je można było zaproponować redaktorom. Kiedy zaś młody poszukiwacz sławy wypłynął wreszcie na powierzchnię, zdobył od razu niezwykłą popularność, opisując prywatne życie znakomitego pisarza z tak niepowszednim humorem, z tak dokładnymi i zjadliwymi szczegółami, że książka rozeszła się w zdumiewającej ilości egzemplarzy, a serce znakomitego pisarza pękło z urazy. Wydając ostatnie tchnienie, wyszeptał:

— Niestety, książki mnie oszukały; nie doprowadzają one całej historii do końca. O, przyjaciele moi! Strzeżcie się pracowitych, młodych literatów! Jeśli Bóg przeznaczył komuś śmierć głodową, nie ratujcie go, narażacie się bowiem na własną zgubę!

OBRAZ

Raz pewien malarz namalował nieduży, ale piękny obraz i ustawił go tak, aby odbijał się w lustrze. Malarz rzekł:

— Zwierciadło zdwoi przestrzeń między obrazem a okiem patrzącego i złagodzi ostrość barw. W ten sposób obraz będzie jeszcze lepszy, niż był dotychczas.

Dowiedziały się o tym leśne zwierzęta od kota, którego ceniły bardzo za to, że był wykształcony, kulturalny, dobrze wychowany, uprzejmy, wyróżniał się subtelnością i nieraz opowiadał im historie, których przedtem nie znły, i co do których, mimo autorytetu kota, miały niejaką wątpliwość.

Nowina ta bardzo je interesowała, toteż zarzuciły kota pytaniami, chcąc dowiedzieć się, jak rzecz stoi. Między innymi spytały, co to jest obraz? Kot wytłumaczył:

— Jest to gładki przedmiot, przedziwnie gładki, nadzwyczajnie, bajecznie gładki i bardzo połyskliwy. A wreszcie bardzo piękny!

Wzruszenie wśród zwierząt doszło do ostateczności, toteż oświadczyły, że gotowe są oddać wszystko na świecie, byle tylko ujrzeć ten niezwykle przedmiot. Po czym niedźwiedź zapytał:

— Cóż w nim nadzwyczajnego?

— Jego wygląd! — odparł kot.

Zwierzęta dziwowały się bardzo, ale niezupełnie rozumiały kota. Wrzenie nie ustawało. Wreszcie krowa spytała:

— A co to jest lustro, o którym również mówiłeś?

— Jest to otwór w ścianie — odparł kot. — Spójrz weń tylko, a wnet ujrzysz obraz. A obraz ten jest tak piękny, tak czarujący, tak pełen polotu, tak wzrusza widza swym niewysłowionym pięknem, że patrząc nań, dostaje się nieomal zawrotu głowy, traci się prawie przytomność z zachwytu!

Aż dotąd osioł nie odezwał się ani słowem, ale teraz jał wyrażać swoje wątpliwości. Zauważył, że dotychczas na świecie nie było nic tak pięknego, by wywołać zawrót głowy i że jest mocno wątpliwe, czy obraz, o którym tyle opowiada kot, jest istotnie aż tak piękny. Dalej zauważył, że skoro kot, aby wywołać zachwyty dla pospolitego, błyszczącego przedmiotu, potrzebował aż całej kolekcji superlatywów, tedy mamy wszelkie prawo wątpić o prawdziwości jego słów!

Wątpliwości te podziały nieco na resztę zwierząt; kot obrażony poszedł do domu. Przez dwa dni nie mówiono wcale o obrazie, wszelako ciekawość zwierząt przemogła, toteż poczęły interesować się nim na nowo. W końcu zwierzęta zwymyślały osła, który rozbudzając w nich wątpliwości, co do piękna obrazu, zepsuł im przyjemność. Osioł jednak nie stracił rezonu; oświadczył najspokojniej w świecie, że wcale nie trudno rozstrzygnąć, kto ma słuszość: on czy kot. Oświadczył, że sam pójdzie spojrzeć w otwór w ścianie, po czym zda relację, co w nim ujrzał. Zwierzęta z uznaniem przystały na to, prosząc tylko, aby udał się niezwłocznie. Tak też i postąpił.

Nie wiedział wszakże osioł, jak trzeba było stanąć, toteż stanął źle, między obrazem a lustrem. Wskutek tego nie ujrzał wcale obrazu, wrócił do domu i rzekł:

— Kot skłamał. W otworze ujrzałem tylko osła. Nie zauważyłem tam żadnych cech gładkiego, lśniącego przedmiotu; stał wprawdzie przede mną piękny i sympatyczny osioł — ale tylko osioł i nic więcej.

Słoń spytał:

— Czy aby dobrze go widziałeś? Wyraźnie? Czy stałeś blisko?

— Widziałem osła dobrze, wyraźnie. Stałem tak blisko, że dotknąłem go nawet nosem.

— Dziwne to — mruknął słoń. — Dawniej kot zawsze mówił prawdę, o ile mogliśmy stwierdzić. Trzeba, aby ktoś jeszcze popatrzał. Idź no, niedźwiedziu, spojrzysz w otwór, wróć i powiedz, co widziałeś.

Niedźwiedź ruszył. Gdy wrócił, rzekł:

— I kot, i osioł zełgali! W otworze stał tylko niedźwiedź.

Zdziwiły się niebywale zwierzęta. Teraz każde z nich pragnęło spojrzeć w otwór i poznać prawdę. Tedy słoń począł słać jednego za drugim.

Poszła krowa i ujrzała — tylko krowę.

Tygrys ujrzał tygrysa.

Lew ujrzał lwa.

Lampart ujrzał lamparta.

Wielbłąd zastał w otworze tylko wielbłąda i nic więcej.

Wówczas słoń wpadł w gniew i oświadczył, że on pozna nareszcie prawdę, bowiem sam się tam uda i spojrzy w otwór.

Gdy słoń powrócił, nazwał wszystkich swoich poddanych kłamcami i wściekły orzekł, że kot jest moralnie i fizycznie ślepy.

Uspokoiwszy się wreszcie, władca oświadczył, że każdy, kto nie jest krótkowzrocznym głupcem, może się przekonać naocznie i dobitnie, że w otworze stoi tylko i jedynie słoń.

S e n s m o r a l n y tej bajeczki znajdziecie, szanowni państwo, w każdym utworze, jeśli staniecie między nim a zwierciadłem własnej wyobraźni. Możliwe zresztą, że nie zauważycie swych uszu, mimo że będą się one w nim odbijały.

Spis treści:

Jak kandydowałem na gubernatora.....	3
Ekonomia polityczna.....	7
Interview.....	11
O sprawach filipińskich.....	14
Listy Chińczyka.....	17
Dzieje grzecznego chłopczyka.....	21
Dzieje niegrzecznego chłopczyka.....	24
Król i osioł.....	26
Moje notatki paryskie.....	30
O fryzjerach.....	32
Dzieje Wenus z Kapitolu.....	35
Literatura wspaniałomyślnych uczynków.....	39
Obraz.....	42